



ŚWIATEŁKO.

PISEMKO

POŚWIĘCONE

MATKOM i DZIECIOM

PRZEZ



Emmę z Kurowskich Puffke.

~~~~~  
**POSZYT I.**

~~~~~  
LESZNO.

Nakładem i czcionkami *Ernesta Günthera.*

55
11
1862.



Handwritten mark

Handwritten mark

Faint mirrored text

Faint mirrored text

Faint mirrored text

Faint mirrored text

Faint mirrored text

Faint mirrored text

Faint mirrored text

Partial circular stamp



Partial rectangular stamp with Cyrillic characters

ŚWIATEŁKO.

RISEMKO

poświęcone

MATKOM i DZIECIOM

przez

Emmę z Kurowskich Puffke.

Poszyt I.

LESZNO.

Nakładem i czcionkami Ernesta Günthera.

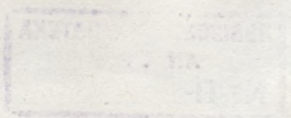
1862.



ЛВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ П-

c. 753941

HC ¹¹ 32016/1862



Treść:

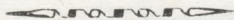
Przedmowa wydawcy do niewiast polskich.

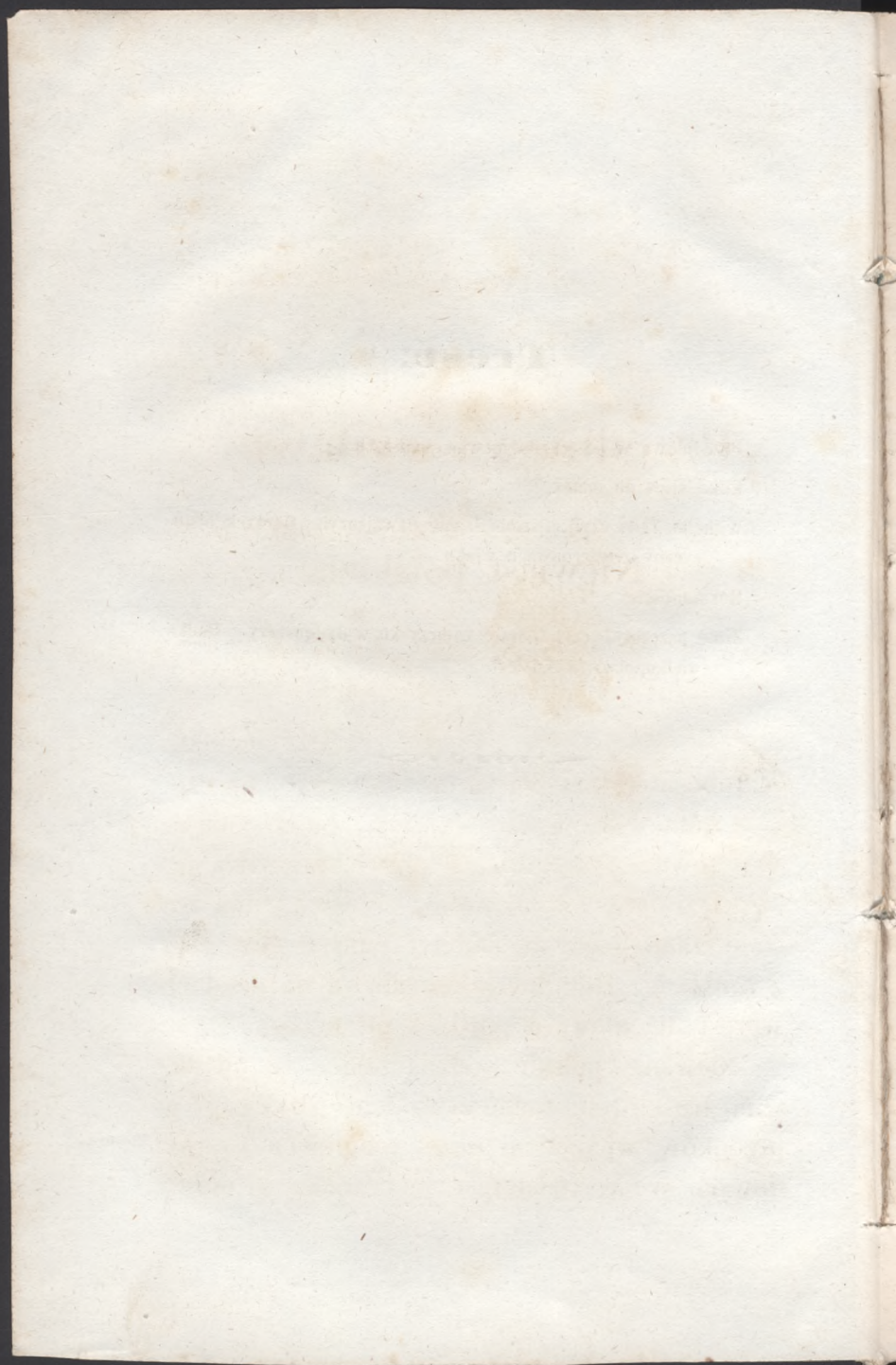
Kilka słów do matek.

Wilhelm Tell, czyli: Oswobodzenie Szwajcaryi. Obrazek historyczny z czternastego wieku.

Rozmaitości.

Złote pszczoły, czyli: Stare zamczysko w Bydgoszczy. Gadka wielkopolska dla dzieci.





Przedmowa wydawcy

do

Niewiast polskich.

Nauka literatura polska już oddawna, a szczególnie w ostatnich czasach, bujne i kosztowne wydała owoce prawie w każdej gałęzi nauk i wiadomości, przecież jedna zostaje zaniedbaną od śmierci pani *Hoffmanowej z Tańskich*. Odtąd bowiem zbywa na dziełach wprost dla niewiast polskich pisanych.

Niewiasty polskie, odznaczające się od dawna troskliwem zachowywaniem obyczajów przodków, wpajaniem uczuć religijnych i narodowych w swe dziatki, i nauczaniem je mową

i przykładem, że po miłości Boga, miłość ojczyzny najwznioślejszą jest cnotą, nie mają dotąd w literaturze polskiej nic, co by je w tém wielkiém zadaniu wspierało.

Nizéj podpisana księgarnia podjęła się równie pięknego jak użytecznego zadania, zamierzając uskutecznić przedsięwzięcie godne radosnego i wdzięcznego przyjęcia w Publiczności. Postanowiła bowiem wydawać bibliotekę dla niewiast, której poszyty w krótkich i regularnych przeciągach czasu wychodzić mające, zawierać będą wszystko to, co tylko umysł kształcić i ducha narodowego podnosić może. Obok artykułów nauczających, tak z pola moralności jako i historii czerpanych, umieszczone także będą w każdym zeszycie powieści dla rozrywki, a jedna powiastka wyłącznie dla dzieci przeznaczona. Wszystko odznaczać się będzie uczuciami tak religijnymi jak i narodowymi.

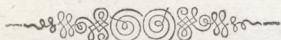
Osoba, która już od lat kilku pracuje z niezmierną pilnością w zawodzie literackim i której jedyną dążnością jest, przyczynić się ile możności do oświecania i kształcenia młodego pokolenia niewiast polskich, podjęła się redakcyi tego pisemka, mając przyobiecana pomoc kilku światłych i uczonych mężów.

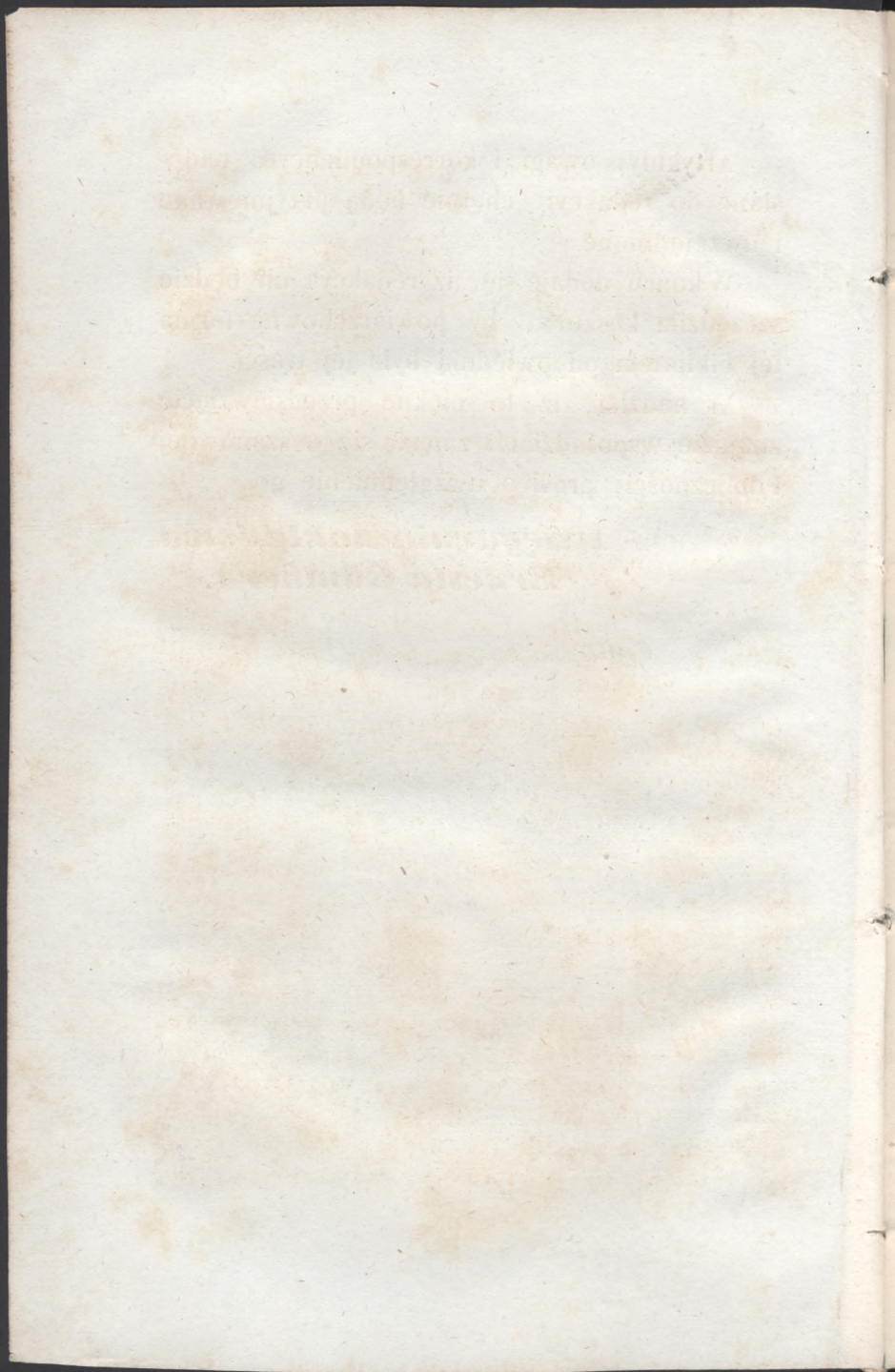
Artykuły, uwagi i korespondencye, nadesłane do redakcyi, chętnie będą przyjmowane i uwzględnione.

Wkońcu dodaje się, iż redakcyja nie będzie szczydziła kosztów, by powierzchowna forma téj biblioteki odpowiednią była jój treści.

W nadziei, iż to piękne przedsięwzięcie znajdzie współudział i zajęcie się u szanownéj Publiczności, prosi o uwzględnienie go.

***Księgarnia nakładowa
Ernesta Günthera.***





Kilka słów do matek.

Życie ludzkie jest pasmem ciągłych doświadczeń, postępów i pouczeń, a nie rzadko gorzkich zawodów, złudzeń i bolesnych rozczarowań. Każdy rok istnienia naszego jest wynikiem lat ubiegłych i przygotowaniem na przyszłe. Każdy zaś wiek ma swoje zadania, z których wywiązywać się powinien, i swą odpowiedzialność za wiek późniejszy. Lubo w miarę postępowania naszego na drodze żywota widoki w przeszłość ciągle się skracają, lubo zdaje się zbyt krótkim, troszczenie się o to krótkie istnienie, które lada chwilę zakończyć się może, są jednak inne wzniosłe i wspaniałe widoki, które zawsze równe zostają; jest wielka nadzieja, która wzmacnia się z latami w sercu religijnego człowieka. Im krótszy czas zostaje mu do życia, tém większej wagi i wartości każda nabiera chwila. W tym, kto walczy na ziemi, by odebrać nagrodę w innym świecie, wzmacnia się męstwo i nadzieja w miarę zbliżania się do celu.

My zwłaszcza niewiasty ciężką odbywamy walkę od kołyski aż do grobu. Mało chwil szczęścia, lecz wiele boleści, trosk i mozolów wszechmocny Stwórca nam zgotował, i wielką na nas złożył odpowiedzialność w tém życiu, lecz piękną i szczytną przeznaczył nam, często już na téj ziemi, nagrodę.

Lecz czy wszystkie pojmujemy to wielkie zadanie życia naszego? — Czy wszystkie staramy się

poznać obowiązki nasze? A poznawszy je, czy wypełniamy sumiennie?

Wprawdzie nie nasza w tém wina gdy je zaniedbujemy lub im podolać nie możemy. — Bo jak każdy człowiek jest tylko tém, czém go wychowanie zrobiło, tak osobliwie my kobiety zawisłe jesteśmy zupełnie od tego, jak nas od kołyski chowano, czy nas rozsądnie kształcono lub zaniedbano wychowanie nasze. W mężczyznach zdarzy się czasem, iż rozliczne wiadomości, nauki i życie publiczne, zatrą niejako ślady domowego wychowania, my zaś niewiasty mamy całe życie do walczenia z nałogami, przyzwyczajeniami, z złemi przymiotami i skrzywionemi wyobrażeniami, któreśmy w pierwszych chwilach życia naszego nabrały.

Najpierwszym i najważniejszym obowiązkiem, do którego Stwórca wszechmocny przeznaczył każdą niewiastę, jest niezaprzeczenie wychowanie plemina ludzkiego. Szczytne i wzniosłe jest zaiste to przeznaczenie nasze, lecz niestety jak mało z pomiędzy nas pojmuje je całkowicie! Po większej części rozumieją matki, iż się godnie z zadania tego wywiązują, gdy dziatki swe wykarmią, wypieszczą, gdy je otoczą wszelkimi możebnemi wygodami, gdy później sprowadzą im do domu nauczycieli, lub im do szkoły uczęszczać każą. Rzadko która pomyśli o tém, iż w szkole umysł tylko kształci się, a przed tém właściwe wychowanie dziecięcia już ukończone być powinno. A to wychowanie należy wyłącznie do matki; do niej należą najwcześniejsze i najgłębsze wrażenia dziecięcia. Jeden z najznakomitszych mędrców wyrzekł te pamiętne słowa: „Wychowanie ludzi odbywa się na łonie matki.“ A więc, o matki, wychowujcie dziatki wasze dopóki do tego pora, a pa-

miętajcie na słowa wielkiego proroka: „wzgardy godna niewiasta, która zaniedbuje swe dziatki.“

Ale wprawdzie, by dobrze wychowywać swe dzieci, powinniśmy same dobrze być wychowanymi i jako takie żyć i działać, powinniśmy być wskrós przejęte ważnością i świętością tego szczytnego, lecz zaiste najtrudniejszego obowiązku.

Lecz czemuż po większej części dzieci już w wieku niemowlęcym źle są chowane, i już mniej więcej moralnie popsute przychodzą w ręce nauczycieli? Jedyna tego przyczyna, iż pierwsze i największy wpływ wywierające nauczycielki, to jest matki, w tym nieszczęsnym trwają błędnie, iż dzieci przyszedłszy do rozumu nabędą same przez się posłuszeństwa i rozeznanie co jest złem lub dobrem. Niektóre matki mają nawet to błędne mniemanie, iż dziecięciu wrodzone są niektóre przywary lub cnoty, iż przeciw pierwszym nie czynić się nie da, drugie zaś rozwiną się same przez się. Nie wiedzą, na swoje i dzieci swych nieszczęście, iż rozum żadną miarą sam przez się nie wnijdzie w dziecko w późniejszym wieku, lecz że on od pierwszej chwili życia jego przez rozsądne działanie na zmysły powoli rozniecany być powinien. Nie wiedzą one, iż nowonarodzony człowiek podobien jest do kawałka nieociosanego marmuru, z którego podług tego, czy się dostanie w ręce zręcznego sztukmistrza, lub niedołężnego partacza, stanie się z niego wspaniały posąg lub straszna karykatura, i że tylko przez dobre wychowanie od pierwszych chwil życia, człowiek, obdarzony zwłaszcza zdrowym organizmem od Stwórcy swego, do szczytnej może dojść doskonałości.

Zwykle zostawiamy pierwsze wychowanie ludzi przypadkowi tylko, a mamki, niańki, ciotki, babunie

mają je wyłącznie w swych rękach. Większa część rodziców licząc na późniejszą poprawę swych dzieci przez szkoły, psują lekkomyślnie ten skarb, który im Stwórca wszechmocny powierzył. Przez swe nierozważne obchodzenie się z nimi, budzą w nich upór, złość, samolubstwo i pełno wad rozmaitych, a gdy później to ziarno zasiane ręką niejednej matki w sercach dziecięcych bujnie się krzewić zaczyna, wtenczas spada zwykle wina na nauczycieli i szkoły.

Zwykle już od najpierwszych chwil istnienia dziecięcia zazwyczajamy je psuć i narowić, przyzwyczajając je do wielu rzeczy, które najgorszy wpływ na późniejsze życie jego wywierają koniecznie muszą. Najpierw psujemy je noszeniem, huśtaniem, kołysaniem. Niemowlę przywyknie tak prędko do tych niepotrzebnych pieczętów, iż krzyczy i płacze, gdy mu ich niedostaje. Ponieważ otaczające je osoby starają się jak najusilniej czynić zadosyć wymaganiom małego tyraństwa, przez to staje się dziecisko już w pierwszych miesiącach swego życia upartem, hardem, gniewliwym, samowolnym. Dziecię nowonarodzone nie doznaje jeszcze żadnych wrażeń; do wszystkiego dopiero przyzwyczajając się musi. Dla tego najważniejszą regułą przy wychowaniu nowonarodzonego człowieka jest, by oddalać od niego wszystko to, do czego przyzwyczajając się niepowinien, a otoczyć go wszystkim tem, co mu się ma w drugą zamienić naturę. Jest to dowiedziona prawda, iż dziecię często już na całe życie przyjmuje wrażenia, zanim się spostrzeżemy, iż już cośkolwiek na niem wrażenie jakiegoś zrobić może.

Nauczwszy dziecię, przez zadosyć czynienie jego woli, którą krzykiem i płaczem objawia, uporu i złości, zbudzamy w niem oprócz tego małoduszność i lękli-

wość, bo znajomą jest rzeczą, iż ludzie źli i uparci, gdy mogą przewodzić nad innymi, stają się w chwilach niebezpieczeństwa lub trwogi słabymi i lęklivymi. Bo zamiast iżby dziecię przez znoszenie przeciwności i samowolne wysilenia nabierało stałości i silnej woli, staje się, przez niewczesną usłużność otaczających je osób, niedołężnem, słabowolnem, grymaśnem, a z takich to dzieci wzdają ludzie najnieznośniejsi dla społeczeństwa ludzkiego, owi tyrani okrutni, samowładni, a słabi i rządzeni własnymi namiętnościami; owe niewiasty grymaśne, zrzęadne, złośliwe i zmienne, trujące spokój i życie wszystkiemu co je otacza.

Niektórzy rodzice cieszą się często z uporu swego dziecka, utrzymując, iż to stanie się później stałością charakteru. Lecz w jakże smutnym znajdują się błędzie? Dziecko uparte czynić będzie zawsze tylko to, co mu się spodoba i wola jego nigdy się skłaniać nie będzie ku dobremu, a w takim dziecku wszystkie złe namiętności najprędzej wezmą górę.

Potrzeba tylko przypatrzeć się niejednej rodzinie, jak tam samowolnie rządzą i panują krzyżące i płaczące dzieci nad otaczającymi je starszemi osobami, i jak te, jako posłuszni niewolnicy, starają się oddalać od nich wszystko, coby mogło w nich niechęć lub chęć do krzyku i płaczu obudzić. Lecz jakże przy takim wychowaniu można rozwinąć w dzieciach uczucia powinności, łagodności, miłości chrześcijańskiej? — Przez zbytne uleganie dzieciom nietylko iż budzimy w nich hardość, samowolę, upór i złośliwość, lecz przytłumiamy w nich wszelkie dobre przymioty, które Stwórca wszechmogący wlał w serce każdego człowieka. Zagaśnie tam na wieki wszelkie uczucie poświęcenia się dla drugich, wszel-

kie uczucie litości, dobroci, bezinteresowności i wdzięczności. Dziecię powinno nawet przy zabawach przywyknąć do tego, by samo sobie wystarczyło i nie potrzebowało ciągle kogo do pomocy.

Wielką wadą w wychowaniu jest także, iż nie dosyć przyzwyczajamy dzieci nasze do tego, by nad każdą spotykające je boleścią panować umiały; także, iż wzbudzamy w nich niepotrzebną odrazę do rozmaitych przedmiotów, jako to: do żab, myszy, gąsienic etc. Iż ich nie przyzwyczajamy do tego, by każdą rzecz z zimną krwią przyjąć umiały. Ale zaiste starsi dają im w tém wszystkim zwykle zły przykład, bo nieumiejąc panować nad sobą, unoszą się niepotrzebnie gniewem, ciekawością, zazdrością, podziwieniem, i budzą w dziecięciu te same zgubne uczucia. Dobry przykład, mówi jeden z najslawniejszych pedagogów, jest najlepszą nauką, najlepszem wychowaniem, jakie dziecięciu dać można. A gdy nianka zmyśla, oszukuje, łakomi się na wszystko co widzi, unosi się złością i w gniewie uderza nawet twe dziecię, jakże możesz spodziewać się, by ono czegoś lepszego się od niej nauczyło? — Równie niestósownem jest żałować dziecięcia i wyrzekać i ubolewać nad niem, gdy się stłucze lub skaleczy, lepiej nie zważać na to wcale, i tylko przedstawić mu spokojnie, iż te trochę bólu nic mu niezaszkodzi.

Trzeba się jak najpilniej starać o to, by dziecko nigdy nudów niezaznało, lecz stósownem zatrudnieniem, umysł jego zajmującym i rozwijającym, skracać mu każdą chwilę. Dla chłopców najstósowniejszem będzie rysowanie, malowanie, wystrzyganie z papieru różnych przedmiotów; dla dziewczynek zabawa z lalką. Lecz i tu powinna rozsądna matka miarę zachować,

bo dziewczynka, której najważniejszym i jedynym zatrudnieniem jest strojenie lalek, stanie się sama próżną i strojem wyłącznie zajęta, i tak jak w dzieciństwie swą lalkę, tak później siebie samę stroić tylko będzie.

Że dzieci od najrychlejszej młodości uczą się obludy, fałszywości, kradzieży i kłamstwa, nie podpada to najmniejszej wątpliwości. Ale te wady w małych dzieciach uważane są za niewinne figielki, zabawne dowcipy, za oznaki roztropności. Do tych wad są ciastka, cukierki, łakocie, trzymane w domu rodzicielskim, najpierwszą pobudką, gdyż by takowe otrzymać, udaje niejedno dziecię chorobę, przychlebia się jak może, albo wcale bierze pokryjomu, a rodzice zajęci przyjmowaniem gości, bywaniem w gościnie, lub też innymi domowymi sprawami, nie zważają na to, lub spostrzegłszy nie karają ich surowo, mniając to tylko dzieciństwem. Zbyt czuła matka rzeknie tylko z uśmiechem: nieprawdaż aniołeczku, ty tego nie uczyniłeś? Na co dziecię odpowie naturalnie, że nie. Gdy mały brat weźmie co pokryjomu starszej siostrze, a ta chce odebrać napowrót swoją własność, rozpoczyna się żwawa bójka. „Tyś starsza, powinnaś dziecku ustąpić“, mówi matka; „zostawże mu to do zabawy.“ Gdy stłuczoną rzecz jaką zastanie matka w dziecinnym pokoju, każde z dzieci woła: ja nie stłukłem, ja nie, ja nie, a matka po-przestanie na tej odpowiedzi, zamiast właśnie kłameę wykryć i surowo ukarać. „Czekaj ty nicponiu“, mówi niejedna matka z uśmiechem do dziecięcia, które po-chwyliło ciastko z talerza i ucieka z niem w kącik, kiedy surowa kara potrzebna by tu była. „Jedz, jedz“, mówi niejedna niania, „bo ci zjem albo dam twojej siostrzyczce“, albo: „wiesz, jaką masz ładną

sukienkę, twoja siostra nie ma takiéj"; albo przeciwnie, „jaką to śliczną bluzkę ma twój braciszek, a ty biedne dziecko musisz chodzić w staréj!“ Takie i tym podobne nierozważne słowa budzą w dziecku głęboko w sercu jego uśpione uczucia samolubstwa, echiwości, zazdrości, które raz przebudzone, wra-
stają z niepojętą szybkością. A jakże łatwo jest obudzić szlachetne uczucia dobroczynności, bezinteresowności, wdzięczności i dobroci w sercu tego samego dziecięcia! — O, jak to smutnie, iż rodzice i wychowujące dzieci osoby, poznać i pojąć tego nie chcą lub niemogą, iż człowiek w pierwszych czterech latach swego istnienia, kiedy jeszcze rozum jego zupełnie jest nierozwinięty, nabiera przez nawyknienie wszystkich złych lub dobrych przymiotów, które na całe późniejsze swe życie zatrzymuje.

Szczerłość, zamiłowanie prawdy, czyli wstręt od kłamstwa, które niemożna dosyć rychło rozbudzać w człowieku, przez to się najbardziej wykształcają, gdy się z dzieckiem zawsze jak najszczerzej obchodzi i nigdy mu się choćby najniewinniejszego kłamstwa nie przebacza. Szacunek dla cudzej własności przez to się wpaja najbardziej w dziecię, gdy mu się niepozwala nawet wiaść w rękę tego, co do kogo innego należy, lecz także jego własnych zabawek mu się nie odbiera.

Lecz największą wadą w dziecięciu jest nieposłuszeństwo, a ta niestety najbardziej prawie jest rozpowszechnioną. Nie mówię tu o owém ślepém posłuszeństwie, którego niektórzy rodzice wymagają po dzieciach za pomocą kar i dyscypliny, przez które dzieci tracą wszelką rozsądną wolę, uczucie godności ludzkiej, i stają się w oczach rodziców podłymi niewolnikami, a po za ich oczyma są tém rozpustniejszymi i samowolniej-

szemi; ale o owem posłuszeństwie, uzasadnionem na miłości i zaufaniu ku rodzicom, które dziecię z własnego przekonania i z pełną wiedzą wykonuje. Takie posłuszeństwo nader jest rzadkiem, a w tém, jak we wszystkich innych wadach wychowania, li tylko matek jest wina. Matka powinna poważnie, spokojnie zakazać dziecku to tylko, czego nigdy mu pozwolić niechce i niemoże, i żadną miarą zakazu swego raz danego niezmienić. Lecz my przeciwnie często tylko podług naszego złego lub dobrego humoru zakazujemy dzieciom to, cośmy im inny raz dozwalały; gniewamy się dzisiaj o to, z czego śmiałyśmy się wczoraj, lub téż nudzimy dziecię ciągłemi zakazami i poprawkami tak, iż mu się koniecznie sprzykrzyć i stracić powagę i zaufanie w oczach jego musimy.

Te i tym podobne wady matek wywierają ogromny, niewypowiedziany wpływ na moralny byt całego plemienia ludzkiego. Bo tak najpodlejszy zbrodniarz, jak i człowiek, który się do najszczytniejszej wznosił doskonałości, odebrał na łonie matki zarody złego lub dobrego, którem późniejsze jego życie się odznacza. Samolubstwo, chciwość, skłonność do kłamstwa, zdzierstwa, oszustwa, obłuda, fałsz, wszelkie wyuzdane namiętności, które szczególnież wiek nasz cechują, są wynikiem wychowania. Kiedy przeciwnie wszelkie dobre przymioty, nawet mężtwo, waleczność, dobrze zrozumiana miłość dla kraju, zamiłowanie pracy i nauki, tylko ręką matki w serce człowieka zasiane być mogą.

Lecz do tego potrzeba wielkiej pracy, wielkiego czuwania nad sobą samemi, wielkiego poświęcenia z naszej strony. Niechaj więc owe pamiętne słowa wyryte zostaną głęboko w sercach naszych: „Stańmy

się lepszemi matkami, a całe społeczeństwo ludzkie ulepszony się przez nas.“.....

Lecz cóż doda nam mocy do wypełniania godnie tych wielkich obowiązków, które na nas wkłada to szczytne i świetne przeznaczenie, być matkami? Cóż nas wspierać będzie na tej często tak ciernistej drodze? Co nas krzepić będzie, gdy siły nasze omdlewać zaczną?

O, niewiasto chrześcijańska, masz źródło czyste i obfite, z którego jedynie czerpać możesz moc i siłę do tej trudnej pracy; jest jasne światło, którego promienia oświecać cię i zagrzewać będą. Są to owe trzy jasne gwiazdy, które Bóg nam zesłał na ziemię, byśmy się za niemi kierowały w drodze żywota naszego. Jest to wiara, iż jest Bóg wszechmogący, który zna wszelkie twoje uczucia, który liczy twoje cierpienia i twoje noce bezsenne, nad pielęgnowaniem twych dziątek strawione; który błogosławi twym dobrym chęciom; ta wiara pokrzepi cię i nie da ci upaść pod ciężarem twój pracy.

Jest to nadzieja, iż ten sam Bóg da ci z twych dziątek doczekać pociechy, iż ukształcisz z nich zanych członków społeczeństwa ludzkiego, iż się staną kiedyś chlubą swego narodu i pomocą swych bliźnich; ta nadzieja, iż kiedyś otoczona gronem twych dziątek, z których każde swemi młodei siłami przysługiwac się zdoła ludzkości, będziesz poważana i szacowana od otaczających cię osób; ta nadzieja słodzić ci będzie wszelkie trudy, choćby one i najprzykřejsze być miały. A miłość, to najpiękniejsze i najnawznioślejsze uczucie, które tak uzacnia i uszlachetnia serce prawdziwego Chrześcijanina, ta miłość, która w twym sercu obejmuje twego Boga, twój naród i twoje dziatki, ta miłość osłodzi ci i upiększy

wsze
wias
świę
kich
dnicz
cie o
i ma
bliźn
przej
uczu
praw
T
wdan
kony
wać
miał

Ob

W
którz

wszelkie trudy i boleści. Ta miłość, przez którą niewiasta może do najszczytniejszych wznieść się poświęceń, ta miłość chrześcijańska niechaj we wszystkich twych postępkach będzie ci gwiazdą przewodniczącą. Niechaj w twych działkach to święte uczucie od pierwszych chwil ich istnienia wzbudzone, lecz i mądrze kierowanem będzie; niechaj miłość Boga i bliźniego serca ich świętym swym płomieniem wskrós przejmie, a wtenczas wszystkie inne cnoty za tém uczuciem postąpią: pokora, szczodroblivość, słodycz, prawość, zdolność do najwznioślejszych poświęceń.

Tak zaiste, tylko niewiasta przejęta świętymi prawdami religii naszej, oświecona jęj mądrością, wykonywająca wiernie jęj przepisy, zdolną jest wychować swe działki tak, iżby z nich kiedyś naród nasz miał chlubę i podporę.

Wilhelm Tell,

czyli:

Oswobodzenie Szwajcaryi.

Obrazek historyczny z czternastego wieku.

ROZDZIAŁ I.

Wy, których serca tchną miłością dla ojczyzny, którzy znajdujecie tylko szczęście w uszczęśliwieniu

bliźniego i używaniu dobrze zrozumianej wolności, posłuchajcie téj krótkiej powiastki. Opowie wam ona, jak mąż zrodzony w kraju uciśnionym żelazną ręką pogromcy, zdołał własną siłą wzniecić odwagę w sercach swego ludu, podnieść go moralnie i oświecić o jego prawach, prawach świętych i nietykalnych, które sam Bóg zapisał w serce człowieka, a które despotyzm i ciemnota tak długo trzymały w ukryciu.

Ten człowiek, dziecię ludu, wzbudził swych współziomków uśpionych w żelaznych pętach, zamienił w ich rękę lemiesz na miecz krwawy i zwyciężył nimi stokroć liczniejsze pułki nieprzyjaciół. W wieku powszechnéj prawie ciemnoty i barbarzyństwa otworzył wśród skał niedostępnych i gór wiecznym pokrytych śniegiem, schronienie dwóm córom niebiańskim: wolności i cnocie.

W starożytnéj Helwecyi, która się teraz Szwajcaryą nazywa, mieszkał od niepamiętnych czasów lud silny, mężny i pracowity. Odlączony przez niebotyczne góry i strome skały od reszty świata, prowadził życie spokojne i pracowite w prostocie serca i czystości obyczajów. Praca, pobożność, silna wiara, i wszystkie inne cnoty, przez władców świata ściągane, schroniły się pomiędzy te góry i skały, i panowały spokojnie w sercach skromnych mieszkańców, szczęśliwych w swém zapomnieniu i prostocie. Późniéj święta wolność i niepodległość zatknęła na szczycie tych gór niebotycznych swe sztandary, a odtąd każdy wielbiciel męstwa i szlachetnych poświęceń, ze czcią wspomina imię Szwajcarów.

Przez kilka wieków Szwajcaryja wolną była od niszczących napadów i wojen, które duma, chęć władzy i zysków sprowadzała na narody, przez owych

rozlicznych wodzów, którzy na ruinach państwa rzymskiego nowe zakładali kraje, gwałcąc najświętsze prawa narodów, rządząc niemi podług praw ustanowionych przez siebie, opartych tylko na despotyzmie i niesłuszności.

Zapomnieni, wzgardzeni może przez tych burzycieli świata, rólnicy i pasterze kantonów Uri, Szwitz i Unterwaldu, lubo pod panowaniem nowych Cezarów, nosili przynajmniej słodkie imię „Wolnych“, zachowali swe dawne prawa, swe zwyczaje i dobre obyczaje.

Ojcowie rodzin, rządzcy nieograniczeni w swych skromnych chatkach, starzeli się otoczeni miłością i szacunkiem swych dzieci i wnuków. Te dziatki wychowywane w bojaźni Bożej, miłości i posłuszeństwie ku rodzicom, nie znały innego szczęścia, nie miały innych życzeń, jak stać się podobnemi tym, którzy im życie dali. Ten lud skromny i cnotliwy, zapomniany od reszty świata, wśród szczytnych piękności natury swój ojczyzny, pozostał cnotliwym i żył szczęśliwy i spokojny.

Niedaleko Altdorfu, ówczesnej stolicy tego kraju, wznosi się nad brzegiem jeziora tegoż imienia wysoka góra. Dostawszy się na nią znużony wędrowiec, znajduje cudowny widok na doliny, łąki i gaje, na porzrucane gdzie niegdzie chaty pasterskie, niebotyczne skały i wspaniałe góry, których szczyty wiecznym pokryte śniegiem, błyszczą w promieniach słonecznych odblaskiem kolorów tęczy. Bystre potoki, rzucające się z szumem z wysokich skał, a potem w szybkim biegu przerzynające kwieciste doliny, na których pasą się liczne trzody, nakoniec tonące w czystych wodach jeziora, nadają tym krajobrazom nieznanym dla mieszkańca płaszczyzn uroków.

Na szczycie tój góry stał przed kilku wiekami mały domek, otoczony sadem, łączką i polem. Ról-
nik, bohater, nieznający sam wielkości swojej, nie-
znający innego uczucia jak miłości dla ojczyzny,
Wilhelm Tell, dostał tę chatkę w puściźnie po ojeu.

„Mój synu“, rzekł starzec, umierając, do niego,
„całe me życie spędziłem na pracy i modlitwie, sześć-
dziesiąt lat przeżyłem w tём skromnym schronieniu,
a żadna niecnota niewstąpiła w me progi, żadna noc
moja nie była wyrzutami sumienia zatruta. Żyj tak
jak ja mój synu; jak ja wybierz sobie pocziwą
małżonkę, której miłość, słodycz i rzędnosc umili
ci twe życie i każdą troskę osłodzi. Wierz mi, ko-
chany Wilhelmie, człowiek cnotliwy, bez przyjaciółki,
któraby serce jego zrozumieć, jego zalety ocenić
umiała, nie może być zupełnie szczęśliwym. Bądź
zdrow! nie oddawaj się zbytnej boleści po méj
stracie. Dla człowieka pobożnego śmierć nie jest
przykrą. Gdy cię posyłałem nieść wsparcie uboż-
szym bliźnim, zdawałeś mi radośnie sprawę z do-
brych uczynków, które ci spełnić poleciłem. I ja
idę teraz zdać rachunek Ojcu mojemu w niebiesiach
z czynów, które on mi wypełniać przykazał. On
mnie wysłucha z taką miłością, z jaką ja ciebie słu-
chałem. U niego będę czekał na ciebie. Bądź szczę-
śliwy w miejscach, gdzie cię zostawiam, żyj swo-
bodnie, dopóki wolnym będziesz; lecz gdyby kiedy
tyran jaki miał się odważyć niepodległość naszą
naruszyć, Wilhelmie umrzyj za ojczyznę, a śmierć ta
będzie słodką i szczytną!“

Te słowa zrobiły głębokie wrażenie na pięknej
dusze Wilhelma.

Opodal domu, w cieniu niebotycznej jodły, wy-
kopał własną ręką grób ojeu, ozdobił go skromnym

krzyżem drewnianym i codziennie przychodził tam rozmyślać chwil kilka, zdawać sobie rachunek z całodziennych czynności, a myśl, iż ojciec jego u Boga widzi wszystkie jego czynności i czyta w sercu jego najskrytsze nawet myśli, wzmacniała go w enocie i wstrzymywała go na drodze prawej.

Tell, silny i pracowity, powiększył znacznie majątek ojcowski, i dzielił się nim chętnie z biednymi. Wstając razem z jutrzenką, uprawiał pilnie swą rolę, cały dzień chodził za pługiem, który dwa silne wołki ciągnęły, a gdy wieczorem usiadł pod rozłożystym jaworem, co chatkę jego ocieniał, rozmyślał, jakby dopomódz swym braciom, którzy nie mieli swjej roli i pluga. Ukończywszy prace dla siebie, pracował tém pilniej dla drugich, obsiewał swym ziarnem ich pola, uprawiał ich rolę swym pługiem, kryjąc się przed ich dziękami, bo niechciał być ich dobroczyńcą, lecz bratem.

Bóg obdarzając Wilhelma duszą wzniosłą i piękną, dał mu przy tém piękność powierzchowną i niezrównaną krewkość i siłę. Wdzierał on się na szczyty stromych skał i urwisk, przepływał najszersze wody, gonił za dzikimi kozami po szczytach gór śniegiem wiecznym pokrytych. W swych rękach zginał najgrubsze żelaza, a na swych barkach całe pnie sosien unosił. Przy uroczystościach i zabawach ludowych Tell zawsze odnosił zwycięstwo, bo w całym kraju nie było nikogo, ktoby mu w strzeleniu z łuku do tarczy lub ptaka w locie wyrównał. Nie był on jednak dumny na te swe powierzchowne zalety, bo więcej cenił najmniejszy z swych dobrych czynów.

Tell, pomny rad ojca swego, przedsięwziął poszukać sobie towarzyszek życia, i wkrótce młoda Ja-

dwiga całe serce jego oświała. Jadwiga była najpiękniejszą i najlepszą dziewczyną w okolicy. Majowy wietrzyk, co wzrusza drzew listki, lub źródło wytryskujące ze skały, w którego czystych kroplach odbija się pierwszy promyk wschodzącego słońca, nie może być czystsze, jak było serce Jadwigi. Łagodność, słodycz i dobroć, obbrały je sobie za świętynię. Cała jej istota z cnoty się składała; ona rozumiała, iż można przestać być cnotliwą, tylko żyć przestając.

Uboga sierota wychowaną była przez starca, jedynego krewnego, który jej pozostał przy życiu. Jadwiga pasła trzody swego opiekuna. Zanim różanna jutrenka oblała swym światłem niebotyczne szczyty cienistych jodeł i świerków, już Jadwiga na górach, otoczona liczną trzodą kóz i owiec, odmawiała swe ranne modlitwy, lub przędła kądziel, z której zrobiona była jej odzież. Gdy pod wieczór wracała do domu, wtenczas zajmowała się przysposobianiem wieczery i przyrządzaniem wszystkiego na dzień następny, by jej dobremu opiekunowi niezbywało na niczem w jej nieobecności. Potem spokojnie udawała się na spoczynek, szczęśliwa, iż mogła wywdzięczyć się swemu dobroczyńcy, pewna, iż dzień następny równą jej do tego poda porę.

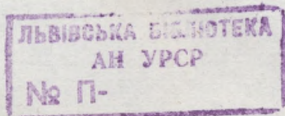
Tell poznał ją i pokochał. Nie znał on owęj wyszukanęj grzeczności, tej sztuki podobania się, w której serce żadnego nie ma udziału. Nie szukał sposobności widywania jej na górach, lub gdy wracała do domu. Lecz właśnie, gdy jej w domu nie było, odwiedzał często czcigodnego starca, i z rozrzewieniem przysłuchiwał się pochwałom, których ten nie szczędził Jadwidze. Jego słowa odbijały się w głębi duszy Wilhelma i bardziej miłość jego wzmacniały,

niżeli widok dziewczyny. Gdy czasem podczas tych pochwał Jadwiga przybyła do chatki, wtenczas Wilhelm czytał w jej spojrzeniu, w jej postawie tętnącą prostotą i szczerością, prawdziwość zdania o niej jej dobrego opiekuna. Zaledwie zdołał przemówić do niej słów kilka i oddalał się do swjej samotnej chaty, by marzyć i myśleć o niej.

Nakoniec po kilkuletniej znajomości Wilhelm penny, że będzie szczęśliwy z Jadwigą, postanowił powiedzieć jej o swych uczuciach. „Jadwiga“, rzekł, „ja cię kocham, lecz bardziej cię jeszcze szanuję. Byłem cnotliwym, lecz miłość ku tobie lepszym mnie jeszcze zrobiła; jeżeli możesz być ze mną szczęśliwą, zostań moją żoną. Przyjdź mieszkać w moim domku, przyjdź na grób mojego ojca; umacniaj mnie w cnotach, które on wpoił we mnie.“ Jadwiga spuściła oczy i zarumieniła się pierwszy raz w życiu. „Wilhelmie“, rzekła, „dziękuję ci, żeś mnie za towarzyszkę życia twego obrał, jestem dumna z twojego wyboru i chętnie ci me życie poświęcę.“

Wkrótce potem ich związek przed ołtarzem pobłogosławiony został, a szczęście i spokój przeniosły się z Jadwigą do domku Wilhelma. Praca nabrała nowego wdzięku dla niego, bo Jadwiga z nią dzieliła; dobre uczynki stały mu się miłszemi, bo ona wiedziała o nich. W rok później przyście na świat syna, owego Waltera, o którym historia tak rozrzewniające zostawiła nam wspomnienie, uzupełniło szczęście Wilhelma.

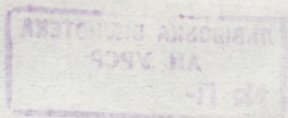
Z początku mały Walter zostawał wyłącznie pod opieką matki, lecz gdy doszedł lat sześciu, Wilhelm zajął się wychowaniem jego. Prowadził go ze sobą na pola i lany zbożem okryte, na góry rozmaitemi porośłe drzewami, pokazywał mu mruczące strumyki



i szumiące wodospady, a zwracając od tych przedmiotów oczy jego ku niebu, opowiadał mu z uwielbieniem o wielkości i wszechmocności Boga, który to wszystko stworzył i utrzymuje. Mówił mu, iż ten Bóg wielki jest świadkiem wszystkich naszych czynności, iż przenika najskrytsze nawet myśli człowieka, i nie żąda od nas tylko abyśmy byli cnotliwymi, by nas uszczęśliwić na wieki. Co wieczór i co rano modlił się z nim, a zawsze przykładem swym uczył go, co to jest być cnotliwym. Nie zważając na słabość jego wieku, prowadził go na śnieżne górszczyty, uczył go piąć się po skałach, ćwiczył go w dźwiganiu ciężarów, obchodzeniu się śmiałem z bydłami, zaprzęganii ich do pługa i prowadzeniu na pole.

Ten chłopiec zwinny, zręczny, roztropny, będąc przy ojcu, był słodkiem, czułem dziecięciem na łonie matki. O jak to dziecię ona kochała! jak często drżała o niego, gdy ojciec zabierał go ze sobą na swe niebezpieczne wyprawy w góry. Często mówiła, przyciskając go do serca, gdy ojca, którego surowa cnota żadnych nie cierpiała czułości, nie było przytém: „O drogi synu, ty jesteś duszą mojej duszy, ty jesteś życiem mego życia; cóż jabym poczęła, gdyby cię spotkać miało jakie nieszczęście na górach!“

Oprócz żony i syna Tell posiadał jeszcze tak rzadkie i niezrównane szczęście na ziemi, Tell miał przyjaciela. Ralf Melktal mieszkał wśród niedostępnych skał, tworzących granicę pomiędzy Uri i Unterwaldem. Szlachetność uczuć, lecz nie podobieństwo charakterów, złączyły ich od dzieciństwa. Ralf był równie szlachetny, równie cnotliwy i mężny, jak Tell; kochał równie jak on cnotę, wolność i rodzinną ziemię, lecz ognista jego dusza zdolną była do wiel-



kich poświęceń, a nie do ponoszenia długich cierpień i trudów. Ralf żywy, prędko, ognisty, nie umiał ukryć żadnych swoich uczuć w uniesieniu i zapale, słowa jego każdą myśl wykryły. Tell przeciwnie umiał swe uczucia zatrzymać w głębi duszy, i ani spojrzeniem, ni słowem, zdradzać ich niepotrzebował. Obaj nienawidzili wszystko, co tchnęło niewolą i niesłusznnością, lecz Ralf gromił ją otwarcie i byłby życie dał, by się za nią pomścić. Tell zaś ścigał je w milczeniu i czekał stósownej pory. Pierwszy podobny był do burzliwego potoku, który w szalonym biegu przerywa wszelkie zapory; drugi, umiając panować nad sobą, gromadził zwolna swą zemstę, podobnie jak śniegi, które przez długi czas zbierają się na Alp szczytach, lecz nagle spłyną potokiem gdy je promień letniego słońca roztopi.

Ralf miał przy sobie starego ojca i córkę Klarę, jedyną pamiątkę po swój zbyt wczesnie zmarłej żonie. Te dwie rodziny kochały się wzajemnie i często bywały u siebie. Często stary Melktal, wsparty na kij, przybywał do chatki Wilhelma, i otoczony gronem dwóch rodzin siadał na szczycie góry, a odkrywszy swą siwą głowę, by ją słoneczne promienie ogrzały, przyglądał się pięknościom przyrody, i mówił o Bogu, jego wszechmoności; o słodyczach życia pobożnego i pracowitego; o pociechach, które się czerpią w cnocie i czystém sumieniu. Tell, Ralf i Jadwiga słuchali z rozrzewnieniem słów pobożnego starca, a Walter i Klara, siedząc u stóp jego, czerpali z nich pierwsze wyobrażenia o Bogu i cnocie.

Tak żyły te szczęśliwe rodziny w miłości i pokoju, tak żył cały ten naród swobodny i wolny, nieznaający innego szczęścia, innych przyjemności, jak pracę, niewinność, miłość i równość braterską; gdy

nagle śmierć Cesarza Rudolfa wyrwała go z tego błogiego pokoju. Rudolf wstąpiwszy na tron Cezarów, szanował wolność i niepodległość Szwajcaryi. Jego następca Albert, dumny swemi wielkimi zwycięstwami, rozszerzając coraz bardziej granice państwa, nie mógł znieść, by w niem istniał lud wolny i prawom jego niepodległy. Zakupił więc tę część Szwajcaryi i rozumiał, że można prawa ludów nabyć za pieniądze, rozumiał, że podle kruszcze uczynią go panem wolnego ludu.

Rządcą tych trzech kantonów mianował Gesslera, najokrutniejszego i najpodlejszego z zauszników młodego Cesarza. Gessler z całą zgrają podłych służalców zamieszkał w Altdorf. Zacięty nieprzyjaciół wolności, oburzał się na samą wzmiankę o niej. Jak zwierz dziki, ścigany przez łowców, lęka się nawet kul świętu; tak on lękał się wszystkiego, co mu wolność przypominało, i przedsięwziął wyniszczyć ją do szczętu. Jego żołdactwo mogło dopuszczać się wszelkich zbrodni bezkarnie; on sam dawał im przykłady łupieztwa, okrucieństw i wszelkich bezpraw. Napróżno lud jęczał i skarżył się; za skargi nawet był karany. Rólnik przeklinał jarzmo, które mu jego wydzierало ziemię; dziewice drżały obok swych matek; starsi radzi, iż śmierć wkrótce powoła ich z tej ziemi, łączyli swe życzenia z synami, by śmierć ponieść za wolność. Nad całym tym krajem ręka Gesslera rozszerzyła, niby całun żałobny, boleść i zniszczenie.

Jak tylko Gessler przybył do kraju, Tell przeczuł nieszczęście grożące jego ojczyźnie. Nie mówił o tém do swój rodziny, ani przyjaciół, lecz wielka dusza jego przysposobiła się nie do cierpienia, lecz do oswobodzenia swego kraju. Wszystko drżało przed Gesslerem, on jeden śmiało stawiał mu czoło. Jego oczy

pały nieznanym jakimś ogniem, lecz z jego twarzy nie się wyczytać nie dało. Spokojny, ponury, milczący, przepędzał dnie całe, nie uściskawszy swego syna, nie spojrzawszy nawet na żonę. Rychlej jeszcze niż dawniej zaprzęgał swe wołki i udawał się z niemi na pole, lecz uprawiał rolę z roztargnieniem. W głębokim dumaniu obliczał przemoc ciemieców, obmyślał środki do ich zniszczenia, ważył rozumem z jednej strony okrutnego Gesslera, otoczonego swém żołdactwem, silnego władzą bez granic, opierającą się na prawie mocniejszego; z drugiej swój lud rolniczy, nie mający żadnej innej podpory jak miłość dla ojczyzny i wolności.

Jadwiga uważała z boleścią zmianę w swym mężu, długo milczała spodziewając się, iż ję sam z siebie odkryje tego przyczynę. Lecz jednego wieczora, kiedy siedząc przed chatką pod cienistym jaworem Tell pogrążony znów był w smutném dumaniu, ona zbliżyła się do niego, i biorąc go z czułością za rękę rzekła: „Wilhelmie, przez cóż zasłużyłam sobie na nieufność twoję? ty cierpisz, a nie użalasz się przedemną; ty knujesz jakieś dziwne zamiary, a niepowierzasz ich twęj żonie? czyż nie wiesz, że miłość twoja jest mojem istnieniem, że nie mogę być szczęśliwą tylko w tój pewności, że to szczęście od ciebie pochodzi? Napróżno badam serce moje, ono jest zawsze to samo, czemuż i twoje takim nie jest? Wszak w naszej chatce nic się nie zmieniło, dla czegoż ty tylko innym jesteś jak dawniej? wszystko około nas jest tém samém, nasze pola obiecują nam bogate plony, nasz syn rokuje nam piękne nadzieje. Widzisz ten księżyc wznoszący się nad gór szczytami, jak pogodny zwiastuje on nam wieczór; łąki i gaje roztańczają około nas swe wonie, cała przyroda jest tak

piękną jak zawsze; cóż cię dręczy, cóż ci brakuje do szczęścia?”

„O, Jadwigo, nie wymawiaj tego słowa szczęście“, zawołał Wilhelm wzruszony; „jak można wspominać o szczęściu, kiedy Szwajcarya jęczy w kajdanach niewoli, kiedy okrutny Gessler uciska nas żelaznym jarzmem. Mówisz o naszych urodzajnych łańcach, Gessler w każdej chwili wydrzeć nam je może; mówisz o szczęściu w naszej chatce, puścićżnie po przodkach, Gesslerowi zburzyć nam ją wolno. Syn nasz ukochany jest niewolnikiem Gesslera. Moja ziemia, moja rodzina, nawet grób ojca mego, wszystko jest w ręku tyрана, ale musimy pomścić się na nim za tę zniewagę. To życzenie, ta nadzieja zajmuje całe me serce, cała ma dusza goreje tym świętym płomieniem. Strzeż się niewiasto odrywać mnie od tych zamiarów i wzniecać czułość w mém sercu dla ciebie i syna. Niewolnik nie ma żony, ani dzieci; odtąd, gdy nim zostałem, wszystko dla mnie zginęło!“

„Czy rozumiesz“, odpowiedziała Jadwiga, „iż serce moje niegodnym jest twego? Czy myślisz, iż mogłabym kochać Tella, a nienawidzić tyranów? O, nie gardź duszą niewieścią, która tchnie samą czułością! Czułość jest wprawdzie często powodem do obłąkań, lecz częściej jeszcze źródłem cnót wzniosłych. Kto łzę uroni na widok nieszczęścia bliźniego, lub na wieść o pięknym jakim czynie, ten chciałby ukończyć pierwsze i zdolnym jest do drugiego. Sądz żonę twoją podług siebie. Ty kochasz swoją ojczyznę, jakże ja bym jej kochać nie miała? Wszystkie cnoty twoje znajdują odblask w méj duszy. Miej do mnie zaufanie, powierz mi twoje zamiary i bądź pewien, że nawet umrzeć z tobą za wolność potrafię.“

Gdy tak rozmawiali usłyszeli płacz i jęk w bliskości swjej chaty. Oboje powstali spieszno i ujrzeni Waltera bladego, drżącego, biegnącego ku nim. „Oj-cze, oj-cze!“ wołał chłopczyzna zalany łzami; „chodź na pomoc; patrz, oto barbarzyńcy wylupili oczy dziadkowi Melktalowi.“ Gdy tych słów domawiał, ukazał się z po za gór starzec oparty na ramieniu Klary. „Tellu, kochany Tellu, gdzież jesteś?“ wołał już z daleka i wyciągał ku niemu drżące dłonie.

Wilhelm przybywa, ściska starca w swych objęciach i wydaje krzyk przeraźliwy, bo widzi, iż starzec w istocie jest oślepiiony, a twarz jego krwią spiekłą zbroczona. Przejęty zgrozą byłby upadł, gdyby się nie był oparł o skałę.

„Ty się oddalas odemnie, jedyny przyjacielu“, zawołał starzec; „czy się lękasz splamić krwią, która z ran mych sączy. Me serce jest zawsze tém samem; barbarzyńcy, którzy mnie pozbawili wzroku, nie wydarli mi serca.“

„Przebac“, zawołał Wilhelm, „przebac, iż gwałtowna boleść zmysły i mowę mi odbiera. O najeno-tliwszy z ludzi! twoje nieszczęście nie może powięk-szszy szacunku, który czuję dla ciebie, lecz czyni mnie silniejszym, i dodaje mi odwagi do wykonania wielkiego dzieła. Lecz z jakiejż straszliwej przy-czyny ci barbarzyńcy ośmielili się podnieść rękę na ciebie? Cóż im zawiniłeś Melktalu? Czy syn twój umarł w twój obronie? Lecz ja zastąpię miejsce jego przy tobie, ja po nim odziedziczę miłość synowską i zemstę.“

„Usiądź tu przy mnie z twą rodziną“, rzekł starzec, „i słuchaj tego zdarzenia.“ Zaprowadzono starca na darniową ławeczkę opodal domu, Jadwiga wspierała w swoich ręku zbolalą jego głowę, a on tak mówić zaczął:

„Tego poranku, gdy słońce po raz ostatni dla mnie oświeciło swemi promieniami nasze góry i doliny, poszedłem z synem i Klarą na pole wiązać w snopy skoszone wczoraj zboże. Wtém ukazał się żołnierz Gesslera i zaczął odprzągać woły od woza naszego. „Jakim prawem“, zawołał Ralf, „zabierasz mi to bydło, jedyną moją chudobę, które pracuje na moją rodzinę i na podatki dla twojego pana.“ „Milcz i nie pytaj“, odrzekł krótko żołnierz. Na te słowa widziałem, jak wściekła rozpacz zabłysła w oczach mego syna, uchwycił drąg od pługa i byłby nim uderzył żołnierza, gdybym ręki jego nie był zatrzymał. „Ciemieźco!“ zawołał potem, „podziękuj mojemu ojcu, iż jego powaga wstrzymała mnie od pozbawienia świata jednego z niecných oprawców; uciekaj, jeżeli niechcesz by ta rola stała się grobem podłego najezdznika.“ Żołnierz oddalił się grożąc. „Synu!“ zawołałem, „w imię Boga, w imię twego ojca i wszystkiego co ci jest drogiem, uciekaj, ukryj się przed zemstą tyrana. Skąpie on się w krwi twojej i obleje nią siwe włosy twojego ojca.“ — „Nie mój ojciec“, odrzekł Ralf, „wolę umrzeć w twojej obronie, niż w oddaleniu drzeń o twoje życie.“

„Bądź posłusznym synu“, zawołałem, „idź do Unterwaldu, ukryj się w jego niedostępnych lasach, Klara i ja przyjdziemy tam wkrótce za tobą. Rozkazuję ci to jako ojciec.“ Na te słowa burzliwy Ralf ukleknął przedemną, przyjął me ojcowskie błogosławieństwo i oddalił się spiesźnie.

Ja chciałem iść do Altdorfu, by się przekonać osobiście, czy żadne uczucie sprawiedliwości nie tli jeszcze w sercach tyranów. Nie lękałem się obelg lub śmierci nawet, by otrzymać przebaczenie dla syna. Gdy nagle chatkę moją otoczyła zgraja siepaczy,

wołano głośno: gdzie Ralf Melktal, i pociągniono mnie do odpowiedzialności, związano mocnemi pęty i zawleczono przed Gesslera.

„Gdzie twój syn?“ zapytał tyran głosem dzikim i ponurym. „Umrzesz za niego, jeżeli go w tej chwili nie oddasz w me ręce.“

„Zabij mnie“, rzekłem spokojnie, „bo syna mego nie wydam.“ Gessler spojrział na mnie wzrokiem, w którym malowała się żądza krwi i niepewność, jakieby wymyślić męczarnie, któreby starość moja wytrzymać zdołała. Nakoniec po chwili milczenia dał znak swoim oprawcom, a ci schwycili mnie i rozpaloném żelazem oczy mi wykłuli.

„Dość na tém“, rzekł Gessler, „zostawcie mu życie; niechaj teraz idzie do swojego syna.“ Potém wywleczono mnie na dwór. Szedłem naprzód drżącemi krokami, gdy się uczulem schwycony w czule objęcia, oblany łzami litości i znany głos mojej wnuczki Klary zabrzmiał w mém sercu: „Dziadku, drogi dziadku, co tobie?“ Kazałem się ję zaprowadzić do ciebie, drogi Tellu, jedyny przyjacielu mego syna; nie mogę cię widzieć, lecz słyszę głos twój, czuję uściśnienie twojej dłoni; syn mój jest ocalony, nie straciłem więc jeszcze wszystkiego na świecie.“

ROZDZIAŁ II.

Starzec przestał mówić; Jadwiga, Klara i Walter otoczyli go, całowali jego ręce i oblewali go łzami. Tell niemy, posepny, z opartą na dłoni głową, spoglądał ponuro ku ziemi; duże łez krople spływały

mu po licach, z piersi uciśnionej nieznośnym ciężarem wrywały się głębokie westchnienia, a ręka, na której opierał głowę, drżała konwulsyjnie.

Po długiém milczeniu podniósł się nagle, przycisnął z uniesieniem osłepionego starca do piersi i rzekł głosem stłumionym: „Ojcze, będziesz pomszczony!“

Długo milczał znowu, nakoniec zapytał starca, czy wie dokąd się schronił syn jego.

„Ralf miał ujść do pieczar góry Fajgel“, odrzekł stary Melktal. „Te dzikie, puste skały niedostępne są siepaczom tyranów. Przysiągł mi, iż nie wyjdzie z nich tylko za moim rozkazem.“

„Uwolnij go od téj przysięgi, proszę cię w jego imieniu“, rzekł Tell, „a ty mój synu przygotuj się do podróży. Pójdiesz na całą noc; zanim dzień zacznie musisz być na górze Fajgel. Poszukaj tam Melktala; powiedz mu, że twój ojciec przysłał cię do niego z oznajmieniem o nowych zbrodniach Gesslera. Powiedz mu, że wyłupił oczy jego ojcu, i oddaj mu ten sztylet.“

Potém wyjął z kieszeni zabójczą broń, którą zawsze nosił przy sobie. Walter zbliżył się z uszanowaniem, wziął sztylet i schował go na piersiach. Jadwiga, Klara drżą całe, lecz nie pytają o nic Wilhelma; spoglądają na Waltera, lecz nie śmiały okazać obawy niebezpieczeństw, na które się ma narażać. Starzec zdziwiony słowami, które usłyszał, pyta Wilhelma o jego zamiary.

„Twój syn zna je“, odpowiada Tell, „a widok pugnału przypomni mu, co ma uczynić. Czas drogi, nie traćmy go; jedno słowo ojciec niechaj ci wystarczy: będziesz pomszczony.“

Potém Tell wziął syna swego za rękę i zawiódł go na grób ojcowski. Tutaj przyjąwszy od niego

przysięgę, powierzył mu część swoich zamiarów, i powtórzył obszerniej co ma powiedzieć Ralfowi. Gdy chłopiec gotów był w drogę, Klara jęła błagać Wilhelma, by jęj pozwolił towarzyszyć Walterowi. Chciała zobaczyć ojca, zanieść mu chleba i owoców, na których mu wśród dzikich gór i skał zbywało. Starsi chętnie zezwolili na to; Jadwiga napełniła koszyk żywnością, i tak dziatki wzięwszy się za ręce poszły w tę drogę pełną niebezpieczeństw.

Wilhelm patrzył długo za odchodzącymi, potem przywdział swą odzież z wilczej skóry, którą zwykły był nosić na łowach, opasał się mocnym rzemieniem, włożył na nogi obuwie z niedźwiedziej skóry; na ramiona wziął łuk i pęk strzał, które nigdy nie chybiły celu, a wspierając się na swym grubym kijku, oprawnym w żelazo, rzekł spoglądając długo na Jadwigę:

„Żono, odchodzę na dni kilka, powierzam ci mego gościa, którego szanujemy jak własnego ojca. Pielegnuj go jak najstaranniej, czuwaj nad nim gdy zaśnie, uprzedzaj wszelkie jego życzenia; w każdej chwili daj mu uczuć to, cośmy winni starości, nie-szczęściu i przyjaźni. Nie powiadaj nikomu, że mnie w domu nie masz, niechaj drzwi chatki naszej będą zamknięte aż do mojego powrotu.“ To mówiąc wyszedł z chatki i spiesznym krokiem udał się w przeciwną drogę od tęg, którą szedł Walter i Klara.

Dwaj mali posłannicy zeszli z góry i wązkiemi ścieżkami szli prosto ku Unterwaldowi. Przybyli po nad jezioro i wstąpili do małej chatki rybackiej, w której mieszkał rybak, przyjaciel Tella, prosząc go, by ich na drugą przewiózł stronę. Poczciwy rybak, lubo zdziwiony przybyciem dzieci o tak późnej dobie, chętnie dał się naklonić ich prośbom, odwiązał

łódkę od brzegu, uchwycił wiosło w silne dłonie i zawiózł ich w szybkim polocie na drugi brzeg jeziora. Dzieci podziękowały serdecznie uczynnemu rybakowi, wysiadły spieszno i wkrótce zniknęły wśród stromych skał, które zewsząd brzegi jeziora otaczają.

Księżyc zaszedł, a różanny blask jutrzeńki ukazał się na wschodniem niebie, gdy dwaj młodzi podróżni stanęli u stóp góry Fajgel. Napróżno spozierają wokoło czy nie spostrzegą jakiego pasterza, któryby im mógł powiedzieć, gdzie mieszka ten, którego szukają. Wokoło panuje głuche milczenie, wśród tych gór i skał dzikich żadnego śladu ludzkiego nie widać. Próżno ich wzrok błądzi wokoło, nie widzą nic prócz ośnieżonych gór szczytów i urwisk skał, na których gdzie niegdzie przesuwają się dzikie kozy, uciekające lotem ptaka, skoro ich spostrzegą.

Nakoniec gdy już słońce wysoko było na niebie, Walter spostrzegł dym wznoszący się pomiędzy skałami. Pokazał go Klarze i oboje spieszonym krokiem udali się przez bór jodłowy w tę stronę. Przybyli po krótkim biegu do jaskini, w której z wesołym trzaskiem palił się ogień jasnym płomieniem, a nad nim siedział człowiek podsycając go suchymi drzewkami. Na szelest ich kroków, podniósł się, pochwycił leżącą około siebie maczugę i pospieszył ku otworowi. „Kto tu?“ zawołał surowo. „Ojcie“, odpowiedziała Klara, „to my, twoje dzieci“, a rzucając się w jego objęcia, dodała: „O jak troszczyliśmy się o ciebie, przynosimy ci żywność i różne wieści z domu.“

Ralf odrzucił maczugę daleko od siebie, uściskał serdecznie ukochane dzieci, posadził je obok siebie przy ogniu i zaczął wypytywać o ojca, Tella i przyczynę ich przybycia. Klara chciała mówić, lecz głos

jój drżał i nie mogła znaleźć słów, by ojcu swemu okropny czyn Gesslera oznajmić.

Walter przyszedł jój w pomoc i rzekł: „Melktalu, widzisz lzy nasze; one ci nowe zwiastują nieszczęście; mój ojciec kazał ci je przez nas oznajmić; powiedział, że przyjaciel jego będzie dość mężnym do zniesienia tego ciosu, że z miłości do swój jedyny córki boleść swą przytlumi.“ Potém opowiedział chłopczyk, jak okrutnie Gessler zemścił się na starcu.

Na tę wieść burzliwy Ralf porywa za maczugę i wypada z jaskini. Chce w tej chwili skapać się we krwi okrutnika. Klara rzuca mu się do nóg, Walter zastępuje mu drogę. „Pomnij na mego ojca“, woła, „wszak on twój najlepszy przyjaciel. Słuchaj przynajmniej, co on ci kazał powiedzieć.“ „Wilhelm przyjmuje zemstę na siebie.“ Poszedł dziś do Wenera; te słowa powinny ci wystarczyć. Oto są słowa mego ojca, powtórzył mi je dwa razy: „Idź mój synu“, powiedział, „donieś o nowych zbrodniach tyrana Ralfowi, lecz powiedz mu, że gwałtem nic nie zrobimy, tylko przez roztropność i męstwo zemstę osiągnąć zdołamy; powiedz mu, że idę do Wenera, by się z kantonem Szwitz połączyć. Niech Ralf idzie do miasta Sztanc; tam się zgromadzą starsi z Unterwaldu, niech ich powoła do broni, a potém niech idzie do pieczar Grütli, gdzie Werner i ja będziemy nań czekali.“

Ralf słuchał z uwagą słów chłopca, a żądza zemsty błyszczała w jego oczach. „Uśluham Tella“, zawołał z uniesieniem, „pobiegnę powołać mych przyjaciół. Powiedz twemu ojcu, Walterze, że jutro dwieście mężów, gotowych śmierć ponieść za niepodległość, zatkną na murach Sztancu sztandar wolności. Nadeszła ta upragniona chwila, którą tylko przezorność

Tella i rozkaz mojego ojca wstrzymywał. Mój ojciec, mój przyjaciel, wzywają mnie; spieszmy więc do zwycięstwa. Pałam żądzą spotkania się z Gessler'em; niech przyjdzie z swym hufcem najemnych żołnierzy i z całą swą przemocą. Jam silniejszy od niego, bo idę naprzeciw niemu w imię wolności i w imię znieważonej ludzkości.“

To mówiąc chciał wybiedz z pieczary, lecz Klara wstrzymała go prosząc, by jeszcze chwil kilka poświęcił miłości rodzicielskiej, i by się wzmocnił pokarmem, który mu przyniosła. Ralf przyjął jęj radę, pożywił się naprędecę, potem uściskał ją ze łzą w oku i rzekł obracając się do Waltera: „Może zginę w tęg świętęg walce za wolność; ta śmierć byłaby piękną i każdy patryota pozazdrościłby mi takiej śmierci; ale zostawiam skarb jedyny na świecie, skarb najdroższy sercu memu po wolności i ojczyźnie; tym skarbem jest moja Klara. Bądź jęj bratem, czuwaj nad nią gdy bez opieki zostanie, zaprowadź ją do twęg matki, niech ona ją przyjmie za córkę, niech ją wychowa podobną do siebie. Przysięż mi Walterze, iż ta przyjaźń, która mnie łączy z twoim ojcem, i w twojém sercu zachowa się dla męj córki.“

Oboje dzieci ukłękli przed Ralfem, on dał im ojcowskie błogosławieństwo. Łzy spływały po jego licach i ćmiły ogień zapału, który płynął w jęgo oczach, potem przycisnął ich do serca, powtórzył co mają powiedzieć Tellowi, i wzięwszy swoją maczugę pobiegł prostą drogą do Sztancu.

Dzieci udały się w podróż ku domowi. Słońce, chociaż dopiero w połowie swego biegu, świeciło blade przez mglistą chmur powłokę, gęsty śnieg zaczął przuszyć i pokrywał coraz to grubiej zmarzłą powierzchnię ziemi. Wiatr mroźny dał od północy, przejmując drze-

niem członki małych wędrowców. Klara i Walter, nie mogąc iść dalej, schronili się pod skałę. Lecz wszędzie śnieg ich dosięgnął, sypał się na ich głowy, pokrywał ich odzież, czyniąc ją ciężką i wilgotną. Lecz Walter niepokoił się tylko o Klarę, ona zaś słodkim uśmiechem starała się go uspokoić, strzepując śnieg z jego odzieży.

Nakoniec burza ustała, promienie słoneczne przedzierając się z po za chmur, obsuły niby milionem dyamentów śnieżną powłokę ziemi. Dzieci chciały iść dalej, lecz straciły ślad ścieszki, która prowadziła do Altdorfu; śnieg przysuł skały, przepaście i ścieszki. Walter prowadził Klarę za rękę, gruntując kijem głębokość śniegu, i nie dozwalał jej postąpić kroku, dopókiad się nieupewnił, iż będzie bezpiecznym.

Zmuszeni obchodzić do koła, gdzie im strumyki lub przepaście tamowały drogę, zmuździli prawie dzień cały i pod sam wieczór przybyli do Erfeldu. Tutaj dopiero Walter pomiarkował się gdzie byli i z radością poznał, że przed nocą mogą stanąć w Altdorfie. Dodawał odwagi swęj towarzyszcze, bo księżyc, który ukazał się na wschodniem niebie, odjął mu obawę zmylenia drogi powtórnie. Spokojniejsi wiele szli wolno nad rzeki brzegiem, która przerzyna kanton Uri, gdy napotkali człowieka uzbrojonego długim łukiem, okrytego szerokim płaszczem, z wciśnioną głęboko na twarz czapką. Nieznajomy zbliżył się do dzieci i rzekł: „Dzieci, zabłądziłem na łowach, oddaliłem się od mych towarzyszy i nie mogę znaleźć ich śladu, ani drogi do Altdorfu, gdzie się niepokoić będą o mnie. Wskażcie mi najbliższą drogę, wynagrodzę wam sownie tę przysługę.“ „Przysługa bliźniemu nagradza się sama przez się“, odpowiedziała łagodnie Klara. „My także idziemy do Alt-

dorfu, prosimy więc ze sobą. W godzinę staniemy na miejscu.“

Myśliwy szedł dalej w milczeniu obok dzieci, przypatrując im się bacznie przy bladym świetle księżyca.

Potem obracając się do Waltera rzekł: „Chłopcze, kto są twoi rodzice? Gdzież mieszkasz w Altdorfie?“

„Jestem synem rolnika, odpowiedział Walter, „ojciec mój nie mieszka w mieście.“

„A w których stronach mieszkacie?“

„W górach; ojciec mój uprawia role i żyje skromnie i cnotliwie.“

„Cnotliwie?“ rzekł myśliwy z szyderczým uśmiechem; niewiedzialem, żeby w twoim wieku można co wiedzieć o życiu cnotliwém.“

„Cnota była pierwsze słowo po Bogu, którego się wymawiać nauczyłem“, odpowiedział Walter śmiało.

„Czy wiesz co to słowo oznacza?“ zapytał znów nieznajomy.

„Spodziewam się, że wiem.“

„Wytłumacz się.“

„Trzy słowa wystarczą na jej objaśnienie. Cnota składa się z bojaźni bożej, miłości bliźniego i nienawiści dla ciemnych.“

„A któż to są ci ciemni?“ zapytał ponuro nieznajomy.

„Tyran i ich żołdactwo“, odrzekł śmiało Walter.

„W Szwajcaryi nie ma tyranów“, rzekł nieznajomy.

Klara nie mogła stłumić westchnienia, Walter milczał, a nieznajomy szedł naprzód pogrążony w głębokim milczeniu.

Przybyli nakoniec pod mury Altdorfu, straż zapytała o hasło, gdy wtém nieznajomy zapytał Waltera głosem stłumionym od złości:

„Jak się nazywa twój ojciec?“

Chłopiec, który w swém życiu jeszcze nie skłamał, wahał się przez chwilę z odpowiedzią, lecz zapytany powtórnie rzekł: „Mieliśmy cię tylko odprowadzić do miasta, dla czegoż pytasz o co więcej? Nie dowiesz się nazwiska mego ojca, jest ono tylko przyjaciółom jego wiadome.“

„Młody szaleńcze“, zawołał myśliwy złośliwie, „twój ojciec mi nie ujdzie, i ty niewydobędziesz się z mych więzów, dopóki się nie dowiem, z jakiego przekłętogo pochodzisz gniazda. Potrafię odkrywać buntowników i karać ich przykładnie.“ Po tych słowach przybył do bramy, wymówił imię Gessler i straż pozdrowiła go z uszanowaniem. „Pochwycić te dzieci“, zawołał okrutny Rządca, „zaprowadzić je do więzienia, a pierwszego, kto się zgłosi po nich, stawić przedemnie.“

Straż otoczyła Waltera i Klarę, bez względu na ich wiek i znużenie, na rzeczy ich zmoczone; zaprowadzono ich do fortecy i zamknięto w podziemném więzieniu. Biedne dzieci z przerażeniem ujrzały, jak żelazne drzwi więzienia z trzaskiem zamknięto za nimi. Kontente, że ich przynajmniej nierozłączono, pocieszały się wzajemnie, a usiadłszy na słomie, co im za posłanie służyć miała, pożywiły się czarnym chlebem, który im za pokarm zostawiono. Potém uklękły obok siebie, złożyły pobożnie ręczęta, a w gorącej modlitwie znalazłszy najlepszą pociechę i uspokojenie, zasnęły snem słodkim, i śniły o matce, ojcu, dziadku i rodzinnej chacie.

Podczas kiedy Walter i Klara zasypiali snem spokojnym, którym enota darzy choćby w najtwardszych pętach, rządca Gessler w swym pysznym pałacu, otoczony wielkością i władzą, mając tysiące służalców gotowych na jego skinienie, Gessler nie mógł zasnąć,

a strach i srogie niepokoje dręczyły czarną duszę jego. Ponury, dziki, miotany wszelkimi namiętnościami, jakie niewiara i duma budzi w sercu człowieka, tworzył rozmaite plany, wymyślał rozliczne męczarnie, by zgębić lud uciśniony, którego się lękał jak śmierci. „O jak ten naród musi mnie nienawidzić“, mówił do siebie, „kiedy nawet te nędzne dzieci nie mogą ukryć téj nienawiści przed nieznanym podróżnym. Cóż starzy i ojcowie muszą powiadać im o nas? Jak niebezpiecznym jest lud ten, którego plemię mnoży się, wzrasta i wychowuje w nadziei wydarcia mi méj władzy, i wywalczenia niepodległości. Lecz ja potrafię uprzedzić ich raży, potrafię sparaliżować postrachem tych, którzy ujdą méj broni. Wymyślę nowe środki do wykrycia mych nieprzyjaciół, wszyscy są niemi wprawdzie, wiesz o tém, lecz najśmielsi z nich muszą zginąć pod mym mieczem.“ I szalejąc prawie ze złości męczy swój umysł, by wymyślić co nowego; nakoniec stawa na planie śmiesznym i dziwnym, chce zmusić mieszkańców Uri, by się kapeluszowi jego klaniali. Każę przywołać dowódców swego licznego żołdactwa, dowiaduje się z obawą jaki duch pomiędzy niém panuje, rozdziela im srebro i dary, a potem rzuca do Sarnema, swego najpoufalszego ministra:

„Jutro skoro świt niechaj na rynku Altdorfu załknęta będzie tyczka, na niej zawieszony mój kapelusz, który w twe ręce oddaję. Żołnierze otoczą plac i zważać będą, by każdy przechodzący pokłonił się przed znakiem wszechwładnego Rządzcę trzech kantonów. Najmniejszy upór, najdrobniejsze uchybienie karane będzie więzieniem lub śmiercią. Musimy karać w tych ludziach tajemne ich uczucia nienawiści, chęć niepodległości i odwagę, bo i odwaga

jest zbrodnią ludu, który służyć tylko powinien. Idź, wykonaj me rozkazy, i wyślij téż tajemnych śpiegów, by wykryli rodziców uwieczonych dzieci.“

Sarnem wykonał ściśle rozkazy swego pana. Rozliczne szpiegi rozeszli się po mieście i okolicy, opowiadać w udanym tonie litości, jak dwoje dzieci uwieczonych zostały przez okrutnego Gesslerera, by z spojżenia wyczytać, jakie wrażenie zrobią ich słowa, by za zbrodnię poczytać litość i współczucie.

Lecz Bóg, który czuwał nad chatką Wilhelma, nie sprowadził do niej szpiegów tyrana. Nie przyszli do Jadwigi, która sama z starcem oślepionym liczyła smutne godziny po odejściu męża i syna.

Noc przeszła im w ciągłym niepokoju; lampka, która oświetlała ciemną izdebkę, tliła się do rana, bo starzec i Jadwiga nie udali się na spoczynek. Rozmawiali ciągle o dzieciach, a za najmniejszym szelestem słuchali z natężeniem. Wiatr, który szumiał wśród drzew z liścia огоłoconych; szczekanie psa, który pilnował podwórza; wszystko przejmowało radosnym drżeniem serce Jadwigi. Biegła do drzwi, mniemając, że ujrzy Waltera, lecz wszystko ucichło, tylko szum wiatru i mruczenie strumyków przerywało to posępne milczenie; smutna powracała do starca, przed którym usiłowała ukryć swe niepokoje.

„Wasz syn zatrzymał dzieci zapewne przy sobie; śpijcie spokojnie, dobry starcze; ja będę czuwała do rana“, mówiła Jadwiga.

„Tak, tak“, odpowiadał starzec, „oni zostali u Ralfa, ja się spać położę, nie troszcz się o mnie moja córko.“ Oboje tak udawali spokojność, której w ich sercu nie było, i ukrywali przed sobą łzy, które im się gwałtem do ocz cisnęły.

ROZDZIAŁ III.

Tymczasem Tell przybył jeszcze przed świtem do stolicy Szwitzu. Zakolał do domu Wenera, a czujne psy powitały go swém szczekaniem. Werner, który już dawno był na nogach, pospieszył otworzyć drzwi. Ujrzawszy swego przyjaciela, powitał go serdecznie i zaprowadził do komina, gdzie dziarski ogień roztaczał swe dobroczynne promienia. Straszliwe brytany, poznawszy przyjaciela domu, straciły swą groźną postawę i łasząc się lizwały skościałe od zimna ręce jego.

„Przyjacielu“, rzekł Wilhelm, „nadeszła nakoniec stanowcza chwila, czas jąć się do dzieła, oswobodzić ojczyznę lub zginąć. Nie przychodzę po rady lub pociechę, lecz wzywam twego męztwa, wołam cię do broni. Nie czas już radzić i czekać, trzeba działać i walczyć. Nowe okrucieństwa Gesslera dały nam hasło do boju.“ To mówiąc, kładzie przed Wenerem duży pęk strzał, luków i ostrych mieczy, które miał ukryte pod futrem. Werner spoziera na nie z radością. „Schowajmy naprzód te drogie skarby w miejsce bezpieczne“, rzecze; „będąc pod jarzmem tyrana nie jest się pewnym w własnym domu.“ Wynieśli bronie do gumna, zachowali je w siano, potem usiedli dopiero spokojnie przy kominie, i Wilhelm opowiadał Wenerowi o szalonych okrucieństwach Gesslera, o ucieczce Ralfa, o swém posłaniu do niego, i że się zniżyć mają w jaskini Grütli, by się pomiędzy sobą porozumieć. Werner przysłuchuje się z uwagą planom Wilhelma, wystawia przeciwności, możebne przeszkody, lecz odbiera na wszystko dostateczne odpowiedzi, bo Tell wszystko rozważył,

wszystko obmyślił, wszystko przewidział. Nakoniec Werner podał mu rękę i rzekł: „Przyjacielu, zachynajmy, jestem gotowy.“

Po długiej rozmowie obadwaj zabrali się w drogę. Obadwaj poszli w inną stronę, by porozdzielać broń pomiędzy sprzysiężonych. Strawili dzień cały nad tą pracą, bo wzywając braci do broni, rozgrzewali ich serca słowem pełnym zapału, a opowiadając im o zbrodniach Gesslera, znajdowali nowe przyczyny prowadzenia ich do wolności.

Gdy noc nadeszła już wszystkie bronie były podzielone, Wilhelm zatrzymał sobie tylko jedną strzałę, Werner jedną lancę. Potem wstąpili znowu do domu Wernera, wytehnęli trochę, pokrzepili się jadłem i udali się do jaskini Grütli, gdzie na nich Ralf miał czekać.

Brnąc przez zasy py śniegu, któremi burza gwałtowna wszystkie przysuła drogi, przybyli nad jezioro; w ciemności znaleźli z trudnością łódkę przywiązaną do wierzby stojącej przy brzegu, którą wichur północny miotał gwałtownie. Werner widząc pieniające się jezioro, zatrzymuje się i pyta Tella, czy zdoła łódką kierować w burzy. „Ralf czeka nas“, odpowiada Wilhelm; „los naszej ojczyzny zawisł od naszego zejścia. Jak możesz pytać, czy przepłyniemy szczęśliwie? Nie wiem, czy to jest możebnem; lecz wiem, że jest koniecznem. Nie ufam sobie, lecz ufam Bogu wszechmocnemu, który opiekuje się nami i świętą sprawą naszą.“ To mówiąc wskoczył w łódkę, Werner postąpił za nim. Tell odwiązał ją od brzegu i zaczął robić wiosłami. Bóg, w którym Wilhelm taką dziecięcą pokładał ufność, okazał swe miłosierdzie nad obrońcami wolności. Gwałtowny wichur ustaje, spienione jezioro opada, i po spokojnych

wałach leci łódka lotem strzały na brzeg przeciwny. Wkrótce dwaj śmieli żeglarze stanęli w jaskini Grütli.

Melktal czekał na nich przy wchodzie. Spozstrzegłszy Tella, biegnie ku niemu, rzuca się w jego objęcia i oblewa go łzami; wspomina wśród łkania imię swego ojca i zaledwie zdoła powściągnąć swe gwałtowne uczucia. Wilhelm płacze z nim razem, ścisną dłoń jego, i wprowadza go do jaskini. Tam trzej sprzysiężeni w zupełnej ciemności usiadłszy na skał odłamach, zapominając o własnych troskach i boleści, zaczynają radzić o losach ojczyściej ziemi. Tell tak się najpierwszy odzywa:

„Ralfie, twój ojciec żyje, jest w moim domu, bądź więc spokojny o niego; niechaj miłość synowska ustąpi miłości ku ojczyźnie. Radźmy nad najprędzemi środkami ku jej oswobodzeniu, ku pomszczeniu zniewag naszych nad nieprzyjaciółmi. Każdy z nas w swym kantonie posiada powszechne zaufanie i miłość braci naszych. Mężni mieszkańcy Szwitza powstaną na głos Wenera, zbywało im tylko broni, a tę im dzisiaj daliśmy. Możemy więc liczyć na dwieście zbrojnych mężów, których Wenera pod swoje bierze dowództwo. Mamy ich przysięgę, możemy liczyć na nich jak na siebie.

„W Uri, gdzie obecność tyrana postrach pomnaża, gdzie straszliwa warownia zdaje się przemoc jego na wieki rokować, było mi trudniej znaleźć współdziałaczy. Wszystkie serca palają tam nienawiścią i żądzą zemsty, a siepacze i szpiegi tyranów czuwają z tém większą bacnością i karają najsrożej pozór nawet odwagi. Nie śmiem liczyć zupełnie na mieszkańców Altdorfu, drżą oni i jęczą pod jarzmem tyrana, którego miecz wisi ciągle nad nimi. W Altdorfie nie powstaną na niego, lecz go zaiste bronić nie

będą. W okolicznych wioskach znalazłem kilka set ludzi gotowych waleczyć z nami razem. To jest wszystko, co mogę wam powiedzieć. Teraz Ralfie mów, co uczyniłeś w Unterwaldzie, a potem umówimy godzinę, chwilę, w której złączywszy siły nasze pojedziemy umrzeć lub zwyciężyć.“

„Bracia!“ zawołał Ralf z zapalem, „sto pięćdziesiąt młodych wojowników wybrało mnie za wodza, nie traćmy ani chwili czasu; téj jeszcze nocy spieszymy pod mury Altdorfu, i złączonemi siły uderzmy na warownię. Bieźmy natychmiast wśród zawiei śniegu i ciemności nocnych, a jutro przed świtem zatknijemy sztandar wolności na rynku, albo zginiemy co do jednego.“

„Tak, w ten sposób zginęlibyśmy niezawodnie“, rzekł przezorny Werner, „a ta śmierć na nicby ojczyźnie naszej zdatną nie była. Czy nie zważałeś na słowa Tella, że zwolennicy jego rozproszeni są po miastach i siolach, trzeba im czasu do zebrania się; kiedy przeciwnie sześć tysięcy wojska pod bronią stoją ciągle przy boku tyrana. Pospólstwo Altdorfu, przestraszony, nie będzie śmiało podnieść się przeciw niemu. Garstka naszych, nim zdoła przedrzeć się przez wały, wyrzniętą zostanie do szczytu. Nasze trzy kantony za słabe są, by się oprzeć przemocy ciemieżców, którym całe państwo niemieckie stoi na zawołanie, by liczniejsze sprowadzić wojska. Wiercie memu doświadczeniu. Zapewnić musimy sobie silniejszą pomoc, nim się na krok jaki odważym. Przecież nie sami jęczymy w jarzmie niewoli, wszakże i inne kantony Szwajcaryi w tych samych jęczą pętach. Serce moje przeczuwa, że one połączą się później z nami, że jedno utworzmy państwo, którego godłem będzie: „wolność, niepodległość i

równość braterska.“ Poślijmy posłańców do Lucerny, do ZÜRICH i reszty kantonów, zrobmy ogólne powstanie, ustanówmy jeden dzień wielki, gdzie w jednej godzinie, w jednej chwili, w całej Szwajcaryi płomień powstania wybuchnie, a wtenczas nieprzyjaciel ulegnie pod naszymi razami, bo nie zdoła wysłać gońców o pomoc do Cesarza.“

„Ralfie“, rzekł teraz Tell“, lubię twą odwagę, wybaczam twój burzliwość, lecz ona byłaby nam zgubną. Wernerze, szacuję twą roztropność i przeczność, lecz i ona dłużej jest niebezpieczną. Biada temu spiskowi, który długiego potrzebuje czasu i nie jest skoncentrowany w małej liczbie serc prawych. Jeden błąd, jedno nierozważne słowo, przypadek jaki, obalić może dzieło lat wielu. Potrzeba tylko jednego zdrajcy pomiędzy tylu miastami, które nam proponujesz, by ojczyznę w tém gorszą pograżyć niewolę, by skazać na śmierć lub wygnanie wybór naszych ziomków. Nie, nie powierzajmy nikomu więcej naszych wzniosłych zamiarów. Wystarczymy sobie sami, a gdy Uri, Schwitz i Unterwald zatkną wolności sztandary, wtenczas pobratymcze ludy połączą się z nami. Wernerze, czas jest do działania, lecz Ralfie dni jeszcze kilka czekać trzeba. Słuchajcie planu mego. Mamy w ogóle pięćset ludzi gotowych na nasze wezwanie. Wyznaczmy na ich zgromadzenie nie miasto, nie siola, lecz jaką samotną dolinę, gdzie udając się rozmaitemi drogami, mogą się zebrać bez wzbudzenia uwagi. Ty podejmiesz się zwołania ich, ja zaś wrócę do Uri, każe Fürstowi, jedynemu, który zna me plany, zebrać moich walecznych górali. Ja pozostanę w Altdorfie, gdzie goniec Fürsta doniesie mi gdy wszyscy będą zebrani. Na tę wieść zapalę stós drzewa, który już dawno przysposobiłem na

ten cel na górze opodal mego domu. Gdy ujrzycie płomień, wtenczas spiesz Wernerze i Ralfie na miejsce zebrania, i wszyscy razem uderzcie na Altdorf. Obliczyłem czas, przestrzenie. Fürst z swymi walecznymi z Uri, Melktal z Unterwaldami, i Werner ze swoimi, muszą o jednym czasie z północnej, wschodniej i zachodniej strony otoczyć miasto. Ja tam będę bracia, będę wzywał pospólstwo w imię wolności do świętego boju. Lud ujrzawszy trzy kantony, spieszące sobie na pomoc, powodowany nienawiścią, pomnoży niezwłocznie szeregi walecznych. Tak uderzymy na zamek, gdzie przełęczony tyran nie będzie gotów do obrony, i wkrótce sztandar nasz zatknięty będzie na murach, a cała Szwajcarya połączy się do świętego boju.“

Gdy skończył, Ralf rzucił się na jego szyję i oblał bohatera łzami uniesienia. Werner przyjął jego zdanie. Potem trzech bohaterowie, nie wiążąc się nawet przysięgą, któraby zbytęzną była dla ich dusz wzniosłych, udali się spieszo na naznaczone miejsca.

Wilhelm powracał do Altdorfu idąc nad brzegiem jeziora. Chciał, zanim powróci do Jadwigi, odwiedzić swych przyjaciół w mieście i oznajmić im wielkie zdarzenia. Słońce świeciło już jasno, gdy stanął na rynku. Pierwszy przedmiot, który go w oczy uderzał, jest tyczka, a na niej złotem wyszywany kapelusz. Około tyczki przechodzą się w milczeniu żołnierze i zdają się pilnować z uszanowaniem tej nowej oznaki wielkości. Widzi pospólstwo Altdorfu podle schylające czoło przed tyczką, przed kapeluszem, a żołnierzy grożących lancami tym, którzy nie dosyć nisko się kłaniają. Tell zatrzymuje się na ten widok, nie wierzy własnym oczom, staje niemy, osłupiały, wsparty na swym wielkim łuku; patrzy

z pogardą na ten lud spodlony, z zapalem nienawiści na rozbestwione żołdactwo. Sarnem, dowódzca pułków, przechodzący jeszcze w dzikości samego Rządzcę, spostrzega wkrótce tego człowieka, który sam jeden wśród korzącego się ludu stoi z głową wzniesioną do góry, z postawą dumną i mężną. Stawa przed nim i z okiem iskrzącem od gniewu, rzecze: „Ktokolwiek jesteś, drzyj, bym nie ukarał surowo twój opieszalności w wykonywaniu rozkazów Gesslera. Czy nie wiesz, że każdy mieszkaniec Altdorfu ma oddać pokłon tój oznace wielkości Gesslera?”

„Nie wiedziałem tego“, odpowiada Wilhelm, „i nigdybym nie był uwierzył, iż dumny Władzca do takiego stopnia szaleństwa dojść może. Lecz jest ono usprawiedliwionem podłością tego ludu. Tak, słusznie, iż Gessler obchodzi się z nimi jak z niewolnikami; musi gardzić ludźmi, którzy się takim rozkazom poddają. Co do mnie, ja korzę się tylko przed Bogiem.“

„Śmiałku!“ zawołał Sarnem z zajadłością, „przyplacisz drogo te słowa, jeśli ich nieodwołasz na kolanach.“

„Ukaralbym sam siebie“, odpowiedział Tell z dumą, „gdybym stał się dość podłym i uląkł się ciebie!“

Na te słowa, za skinieniem Sarnema, zgraja żołnierzy otacza Tella i prowadzi go prosto przed Gesslera.

Spokojny wśród żołnierzy, głuchy na wszystkie miotane nań obelgi, z rękoma założonemi na piersiach, stanął Tell przed tyranem; mierzy go wzrokiem pogardliwym i nie przerywa mowy tym, którzy go obwiniają. W dumnym milczeniu oczekuje, aż go Gessler zapyta. Jego śmiała postawa, twarz spokojna, poważna, lecz bez żadnego obawy śladu, dziwią i mieszają Rządzcę. Postrach mimowolny, jakieś ta-

jemne przecucie, mówią mu, iż to jest mściciel jego zbrodni. Lęka się spojrzeć mu w oczy, lęka się przemówić do niego; nakoniec głosem drżącym i niepewnym pyta go, jaki miał powód do wzbraniania się z wypełnieniem jego rozkazu. „Mów, broń się“, dodaje, „może ci przebaczę.“

Tell odpowiada z gorzkim uśmiechem: „Ukarz mnie, lecz nie żądaj odpowiedzi. Kto nigdy prawdy nie usłyszał, ten jęj znieść nie może.“

„Chcę ją słyszeć od ciebie“, odpowiada na to Gessler.

„Więc słuchaj Gesslerze“, mówi śmiało Tell. „Już czara nieszczęścia i niedoli, którą Bóg zesłał na nas przez ciebie, przepelnioną została. Sprawiedliwość jego wkrótce cię dosięgnie. Czy słyszysz jęki nieszczęśliwych, których w swych podziemnych trymasz lochach? czy słyszysz płacz i narzekanie wdów i sierót, którym wydarłeś ojców i synów? czy nie widzisz ich krwawych cieniów, otaczających cię dokoła? czy krew ich nie pali cię w dłonie? czy ich jęk nie budzi cię ze snu? Tak, ty widzisz ich wśród ciemnej nocy, napróżno zamykasz oczy, by ujść tym strasznym obrazom; one ścigają twoją duszę i nie dają ci spocząć na chwilę. Tak, drżysz Gesslerze, bo zbliża się chwila wyplaty. Nieszczęsny lud uciśniony woła na kolanach, wśród stromych gór i skał swoich, o pomstę do Boga; wznosi swe ręce ku niebu i w gorących modłach prosi o zagładę niszczyciela ludzkości, ciemieżyciela niewinnego ludu. Więc Rządco przepowiadam ci, że te prośby, te modły, wysłuchane zostaną; ten jęk tylu ofiar niewinnych dochodzi przed tron Wszechmocnego Boga, a on dlań oswobodzenie gotuje. To są moje myśli, moje życzenia, moje nadzieje. Wiesz teraz wszystko; myśl jakiej chcesz męczarnie, czekam ich cierpliwie.“

Gessler słuchał słów tych w milczeniu. Niemy, ponury, rozmyślał nad tém, jakaby karę przeznaczyć temu, który zdawał się pogardzać śmiercią. Wtém przypomniał sobie o dwóch dziatkach, które dnia wczorajszego kazał wrzucić do więzienia. Porównywa śmiało słowa tych dzieci, z mową buntowniczą tego człowieka, i wnosi z tego, iż on ich ojcem być musi. Chce się natychmiast upewnić o tém i rozkazuje, by je przyprowadzono przed niego.

Sarnem pospieszył po nie. Tymczasem Gessler, udając obojętność, pyta Wilhelma o jego stan i znaczenie w Uri. Tell nie ukrywa swego nazwiska, a to nazwisko tak sławne w Altdorfie przeraża strachem podlego Rządzcę. „Jako, więc to ty jesteś“, rzecze, „którego strzała nigdy nie chybi do celu? który, wśród najsroźszych burzy, kierować umiesz łódkę na jeziorze?“

„Ja“, odpowiada Tell, „lecz żałuję, iż imię moje dotąd niczem lepszem nie słynne. Ta próżna chluba niczem jest w porównaniu śmierci za ojczyznę podjętą.“

W téj chwili powrócił Sarnem, prowadząc za rękę Klarę i Waltera. Tell, ujrawszy swego syna, wydaje okrzyk podziwienia i biegnie ku niemu. „Walterze, synu, ty tutaj!“ woła.

„Nie, nie, ty nie jesteś mój ojciec“, odpowiada Walter usuwając się od niego; „nie znam ciebie, moi rodzice nie tutajsi.“

Wilhelm staje osłupiały z podziwienia, nie pojmuje dla czego Walter zapiera się ojca; Klara powiększa jego zadziwienie, zapewniając, że Walter nie jest synem tego człowieka. Serce Wilhelma oburza się na to; a Gessler, którego dzikie spojrzenia przenikają całą tajemnicę, pasie się srogą radością na widok boleści, obawy, pomieszania ojca i dzieci.

Nakoniec rzecze z szyderczym uśmiechem: „Na próżno to udawanie; te dzieci godne są ciebie i na równą zasłużyliście karę. Lecz karząc cię, chcę oddać cześć twojej zręczności; chcę, by ją cały Altdorf podziwiał. Niechaj postawią twojego syna o dwieście kroków od ciebie, na jego głowie położone jabłko niech będzie celem twój strzały. Jeżeli ona ugodzi w sam środek jabłka, ulaskawię was obudwóch; jeżeli zaś nie przyjmiesz tej próby, syn twój umrze w twoich oczach.“

„Tyranie!“ zawołał Tell w najżywszym oburzeniu. „Czy piekło samo myśl ci tę podało? O, wielki Boże, który widzisz to wszystko, czy możesz ścierpieć tyle okrucieństwa? Nie przyjmuję tej próby, nie chcę być mordercą własnego dziecka. Żądam śmierci, błagam o nią twych katów, lecz niech umieram jako człowiek i ojciec.“

„Ojciec“, zawołał teraz Walter, „przyjmij tę próbę, uspokój się, Bóg poprowadzi twą rękę, twój syn jest w jego opiece. Przebacz, iż z zbytnej miłości i troskliwości o ciebie zaparłem ci się na chwilę; o jak okropnie mi to było; ale tyran przedsięwziął ukarać mych rodziców za śmiałe słowo, które wyrzekłem wczoraj do niego. Lecz teraz już to zbyt czem, mogę się przyznać do ciebie, mogę cię uściskać i prosić, przyjmij tę próbę. Ty mnie nie zabijesz, drogi ojciec, Bóg na to nie zezwoli.“

Potem Walter rzuca się w objęcia ojca, który go przyciska do serca, oblewa łzami i powtarza: „nie, nie mój synu, to być nie może.“

Gessler niewzruszony tym widokiem powtarza swój rozkaz straszliwy. Wilhelm waha się jeszcze chwil kilka, nakoniec spogląda okiem straszliwem na tyrana i rzecze: „dobrze, wypełnię twoje rozkazy.“

Ojciec trzymając syna za rękę wychodzi z pałacu, otoczony zgrają żołnierzy, dowodzonych przez Sarnema. Tłumy ludu schodzą się na plac; ich oburzenie dochodzi najwyższego stopnia, lecz nikt nie śmie się odzywać, nikt nie śmie nawet śmiało spojrzeć do góry, posępne milczenie panuje wokoło, lud cierpi, wzdycha, lecz milczy.

Dziki Sarnem wymierzył przestrzeń. Rząd żołnierzy z lancami otacza ją wkoło. Walter, stojąc na przeciwko ojca, spogląda okiem spokojnym na te przybory. Gessler stojąc opodal, uważa z obawą to złowrogie milczenie ludu. Wilhelm otoczony lancami stoi z wzrokiem spuszczoneym ku ziemi. Podają mu łuk i strzałę, lecz on odrzuca je i prosi o swój sajdak; z tego wyjmuje spiesznie dwie strzały, jedną z nich w łuk napina, drugą chowa pod suknię. Potém spogląda długo na syna, wstrzymuje się, wznosi oczy ku niebu, nakoniec rzuca daleko łuk i strzałę od siebie i żąda mówić z Walterem. Czterech żołnierzy prowadzą go do niego. „Mój synu“, rzecze, „muszę cię raz jeszcze uściskać. Nie ruszaj się me dziecko, uklęknij i błagaj Boga, by wspierał rękę twego ojca. O, prosz go za siebie i za mnie! nie trać tój odwagi, którą tak podziwiam, lecz jój nabyć nie mogę. Tak, w tój postawie stój i nie ruszaj się. Wielki Boże! ty nie wiesz, drogi chłopcze, jakie wrażenie zrobi na ciebie to ostrze strzały, wymierzone na twą głowę. Odwróć się, i nie spoglądaj na mnie.“

„Nie, nie ojcze“, odpowiada chłopczyną, „ja się nie lękam strzały mego ojca, niepotrzebuję odwracać głowy.“

„Milcz synu!“ woła Tell w największej rozpacz, „twój głos siły mi odbiera. Milcz, nie ruszaj się,

i módl się po cichu.“ To mówiąc, kładzie mu jabłko na głowę i szybkim krokiem powraca na swe miejsce. Potem chwyta za łuk i strzałę, mierzy do tak drogiego celu; dwa razy usiłuje wystrzelić, dwa razy drżące jego opadają dłonie. Nakoniec zbierając całą moc duszy, ociera zimny pot, który w gęstych kropkach wystąpił mu na czoło; podnosi ku niebu wzrok łzami przyémiony, modli się do Boga, który z wysokości niebios widzi jego bolesną walkę i cierpienia, a zwracając go potem na jabłko na głowie swego syna, spogląda na nie baczném okiem, i korzystając z chwili, w której nic nie widzi, prócz jabłka, mierzy je, celuje doń, napina łuk, i strzała unosi jabłko daleko ze sobą.

Cały plac zadrżał okrzykiem radości. Walter pobięgl rzucić się w objęcia ojca. Ten blady, drżący, nie daje żadnego radości znaku i chwieje się na nogach, Walter wstrzymuje go, lecz w tej chwili wypada strzała, ukryta pod odzieżą Wilhelma.

Gessler stojący opodal spostrzegł tę strzałę. „Strzelcze nieporównany“, rzecze do niego, „dotrzymam słowa i udaruję cię wolnością, jeżeli mi powiesz, co chciałeś uczynić z tą strzałą, którąś zachował przy sobie. Wszak jedna dość była dla ciebie.“

„Chciałem cię nią ugodzić w serce, tyranie!“ odpowiedział Wilhelm, „gdyby ręka moja zabiła była me dziecko.“

Na te słowa złękniiony Gessler powraca pośród swe roty i rozkazuje okuć Wilhelma w kajdany. Sarnem spieszo wykonuje ten rozkaz. Wydierają z objęć ojcowskich Waltera, który naprózno błaga, by go wzięto razem z ojcem. Lud mruczy i oburza się coraz głośniej; Gessler w największém pomieszeniu powraca do swego pałacu, a żołnierzom każe być

- gotowymi do boju. Pułki austryackie przechodzą się po mieście i zmuszają pospólstwo powracać do domów. Powszechny postrach panuje w Altdorfie, a katowie w pogotowiu czekają na nowe ofiary.

ROZDZIAŁ IV.

Podczas gdy Gessler niespokojny, by lud nie pomścił się na nim za Wilhelma, zamknął się w swym warownym zamku i otoczył murem żołnierzy; biedny Walter obchodził do koła więzienie i wydając jęki boleści, błagał napróżno nielitościwych oprawców, by go wpuścili do ojca. Klara, którą już wprzód oddalono z pałacu, spotkała się teraz z Walterem. O, jakże ich przywitanie było bolesnem! „Mój ojciec uwięziony, będzie zapewne zabitym“, rzekł Walter. „Słuchaj Klaro, straciłem już nadzieję dostania się do jego więzienia i tam nie bardzo byłbym mu przydatnym. Lecz użyję innych środków, by uratować mu życie. Pójdę do Unterwaldu, powiem twojemu ojeu, w jakim niebezpieczeństwie jest jego przyjaciel. Melktal, mężny i śmiały, przyjdzie mu z swoimi na pomoc. Ty dobra Klaro powróć do méj matki, donieś jój co się dzieje z ojcem i zemną, pocieszaj ją w rozłączeniu z nami, a jeżeli umrę razem z ojcem, zajmij przy niej me miejsce.“

To mówiąc, rozstaje się z Klarą, wychodzi z miasta i spieszy w góry do Ralfa. — Klara powróciła do chatki Tella, gdzie Jadwiga z starym Melktalem w najżywszej zostawała obawie o męża i syna. Przybycie Klary, która blada, drżąca, z oczyma od łez czerwonymi wbiegła do izby, podwoiło jój przestrach.

„Gdzie Walter? cóż się stało z mym synem?“ pyta drżąc cała. „Żyje i jest wolny“, odpowiedziała Klara, rzucając się w objęcia dziadka. Potém głosem słabym i drżącym opowiedziała co przeżyła przez te dni kilka: o okropnej próbie, którą Rządzca zadał Tellowi; o uwięzieniu jego, i że Walter poszedł przywołać Ralfa na pomoc ojcu. Na te wieści Jadwiga upada bez zmysłów na ziemię, starzec w największej rozpaczycy łałamuje ręce i płacze jak dziecko. Chce, by go prowadzono do syna; chce walczyć z nim razem i umrzeć w obronie Tella. Młoda Klara wstrzymuje starca, trzeźwi zemdlałą Jadwigę, i zaledwie może podolać staraniom, które obaj nieszczęśliwi potrzebują.

Nakoniec gdy pierwsza chwila boleści minęła, starzec odzyskawszy naprzód spokojność umysłu, rzekł biorąc Jadwigę za rękę: „Nie traćmy na łzach i boleści tak kosztownego czasu. Walter jest w Unterwaldzie; za kilka godzin Ralf ze swoimi może przyjść w pomoc Tellowi. Znam Ralfa, jest on skory do czynu, uderzy zapewne téj nocy jeszcze na Altdorf. Lecz garstka jego przyjaciół nie podola przemocy wrogów. Ja sam pójdę do miasta. Mój wiek, mój włos siwy, ślady ócz wylupionych i krwi na méj odzieży, zrobi na zmartwiałym ludu wrażenie i rozgrzeje ich serca. Jestem pewien, że lud będzie chciał pomścić krzywdy moje, i połączy się z Ralfem. Uderzymy na warownią Gesslerera, a hasłem do boju będzie wolność i niepodległość. Tak, Bóg, który mnie natchnął tą myślą, nie da nam upaść pod przemocą wrogów. Pójdź moja wnuczko, podaj mi kij i wspieraj mnie na twém ramieniu.“

„Pochwalam myśl twoją starcze, i zaprowadzę cię sama do miasta“, ozwała się teraz Jadwiga, „lecz nim opuścim te miejsca, racz słuchać słów moich

i poradź mi co mam uczynić. Lubo mi mąż mój nigdy tego wyraźnie niepowiedział, wiem jednak, iż on wielkim zajmuje się planem oswobodzenia ojczyzny. Mnóstwo broni, którą zewsząd tajemnie sprowadzał, jego podróże do Szwitz, Uri i Unterwaldu, jego nocne wycieczki, niespokojność i zamyślenie, które się ciągle na jego twarzy malują, wszystko to odkryło mi, że Wilhelm jest duszą spisku, który trzy nasze łączy kantony. Nie wiem nazwisk innych naczelników, lecz wiem, iż są obrani i że jest znak jakiś umówiony pomiędzy niemi. Nie mogłam do ciebie tego zupełnie, lecz przed kilku dniami pochwyciłam słów kilka Wilhelma, z których się domyśliłam, że tym znakiem jest stós drzewa zapalony na naszej górze. Zbywa nam czasu i siły, by stós taki ułożyć na prędcie, lecz głos tajemny mówi mi, że gdybyśmy zdołali zapalić ogień na górze, wszyscy przyjaciele Wilhelma zbiegliby się na jego ratunek. Starcze, moja słaba ręka zdoła w jednej chwili rozniecić pożar w tej chatce, która nam lat tyle służy za schronienie. Stoi ona na samym szczycie góry. Ten pożar widać będzie we wszystkich trzech kantonach. Cóż znaczą dla mnie dom, spokój i zamożność, gdy mąż mój jest w niebezpieczeństwie? Jeżeli zdołamy go ocalić, ty przyjmiesz nas do siebie; jeżeli on zginie, wtenczas grób jeden wystarczy dla nas obojga.“

Starzec pochwalił jęj to poświęcenie. Jadwiga schwyciła wiązkę lucywa, zapaliła je w kominku i porozrzucała po chacie. Wkrótce płomienie objęły wszystkie sprzęty najdroższe jęj sercu, widzi palące się szafy, stoły, łóżka, nawet kołyskę, drogą pamiątkę z czasów niemowlęcych jęj syna, lecz spogląda na to bez żalu, bo w tych płomięniach spo-

dziewa się znaleźć ratunek dla męża. Widząc, iż już nic pożaru przygasić nie zdoła, bierze starca pod rękę, wyprowadza go z chaty i prowadzi prosto drogą ku Altdorfu.

Podczas kiedy wśród ponurego milczenia, które postrach sprowadza na miasto, starzec, niewiasta i młoda dziewczyna przybyli kolatać do drzwi swych przyjaciół, pożar zniecony ręką Jadwigi szerzy się i obejmuje słomianą strzechę. Łuna wznosi się ku niebu i wśród ciemności nocnych błyszczy jasno na widokregu. Werner widzi ją w Schwitz, burzliwy Melktal, do którego Walter jeszcze nie był doszedł, drży z radości, a Fürst wśród swych walecznych górali nie wątpi, że Tell z Altdorfu znak mu ten przesyła. Wszyscy trzej wodzowie wychodzą, zwołują swoich ludzi hasłem wolności, i podług umowy spieszą każdy inną drogą pod mury Altdorfu.

Wstrzymywani w biegu przez zaspy śniegu, potoki, zarośla i manowce, drżą, by się nie spóźnić o chwilę, by razem stanąć na miejscu i w zjednoczonej sile uderzyć na straszliwą warownię, którą trzeba zdobyć razem z tyranem.

Lecz ten tyran złękniiony, przerażony poruszeniem ludu, które dnia wczorajszego był spostrzegł, nowe wymyślił plany, zdolne zniweczyć wszelkie usiłowania sprzysiężonych. Gessler rozważywszy, że warownia pełna żołdactwa nie mogłaby dla braku żywności długiego znieść oblężenia, i lękając się, by mu nie odcięto komunikacyi z resztą wojska, kazał przywołać Sarnema i takie wydał mu rozkazy:

„Dziś wieczorem opuszczam Altdorf, ty w mej nieobecności obejmiesz komendę. Zostawiam pod twym dowództwem najwaleczniejszych żołnierzy. Gdyby ten lud podły miał się zbuntować, wyniszczcie go

do szczętu. Dla mnie każ przysposobić statek tak duży, by się weń pięćdziesiąt żołnierzy zmieściło. Gdy noc zapadnie, każesz wprowadzić na statek okutego w kajdany Tella, zawiodę go sam do warowni Küstnach, leżącej na drugiej stronie jeziora; tam bezpieczniej ukryty niż tutaj, będzie oczekiwał, aż za moim powrotem z nim razem do Altdorfu okażę całej okolicy, przez straszliwe męki jego, co znaczy obrazić Rządzcę!“

Sarnem dumny, że na czas niejaki zajmie miejsce Rządzczy, pospieszył wykonać dane mu rozkazy, i wkrótce wszystko było w pogotowiu. Bohatér, obciążony kajdanami, naostatku przyprowadzony został na statek, gdzie Gessler, obwiniony w swój płaszcz fałdzysty, przechodził się niepewnym krokiem na pokładzie.

Statek szybko bieżał po wód przestrzeni, niesiony lekkim wiatrem południowym. Powietrze było czyste, jezioro spokojne, gwiazdy błyszcząły jasno na ciemnym tle niebios. Wszystko zdawało się sprzyjać Gesslerowi. Prędko przebyli wąską część jeziora i skierowali się ku cieśninie, która wprowadza na drugie jezioro. Tell siedząc na dole w swych ciężkich kajdanach, poznaje na lewym brzegu jeziora dzikie skały Grütli, i tę jaskinię, gdzie wczorajszej nocy rozważał nad oswobodzeniem ojczyzny. Ten widok, te wspomnienia, rozrzewniają go tak, że łzy do ocz mu się cisną. Chcąc stłumić te bolesne uczucia Wilhelm, odwraca oczy, spogląda ku Altdorfowi i spostrzega lunę pożaru na niebie, która się coraz to bardziej rozszerza i wzbija ku niebiosom. Serce jego przejmuje ten widok radosnym drżeniem, lecz nie pojmuje z kąd pochodzi ten znak, o którym on nie wspomniął do nikogo. Wątpi, przypatruje

się baczniej i poznaje, że ta luna pochodzi z góry, na której domek jego stoi. Dziękuje Bogu, choć jeszcze nie wie z pewnością, czy to jest dobrodziejstwem od niego. Nie spodziewa się, by to zdarzenie na los jego wpływ jaki mieć mogło, lecz może ocalić ojczyznę, a myśl ta czyni, iż zapomina o własnej niedoli. Gessler i jego żołdactwo przypatrują się obojętnie pożarowi, bo cóż ich to obchodzi, iż nieszczęście spotyka ich nieprzyjaciół? — Gessler nagli sternika do pośpiechu, bo żąda stanąć na miejscu przed ranem. Statek kieruje się ku wschodowi, przebywa cieśninę i wpływa na głębokie wody unterlandzkiego jeziora. Nagle wiatr zmienia swój kierunek i zaczyna dąć gwałtownie od zachodu; ten poprzednik burzy zaczyna poruszać jeziora; śnieg i grad, pokrywając niebo i ziemię pomroczną zasłoną, uderza boleśnie twarz i ręce wiosłarzy, zakrywając przed nimi nawet ich niebezpieczeństwo. Wiatr coraz to gwałtowniej szumi, huczy i świszczuje, a statek miotany na rozhukanych wałach, to się podnosi aż ku obłokom, to się pogrążać zdaje w głębinach. Żołnierze bledzi i drżący, nie wątpiąc o bliskiej śmierci, padają na kolana i modlą się do tego Boga, o którym nie pomyśleli dotychczas. Podły Gessler bardziej jeszcze pomieszany, niż oni, przechodzi się, prosi, błaga, obiecuje niezmierne skarby, jeżeli mu życie uratują sternicy. Lecz ci bledzi i drżący w ponurém zostawają milczeniu. Łzy, łzy haniebne słabości i tchórzostwa, pierwszy raz w życiu płyną z oczu tyrana; widzi śmierć niechybną, żałuje skarbów, władzy i wielkości, musi opuścić ten świat, którego rozkosze jedyną dążnością życia jego były; przed sobą nie widzi nic, prócz śmierci w głębinach zburzonego jeziora. Żadna gwiazdka nadziei,

wiary i miłości, jak w życiu całym, tak i w tej godzinie śmierci, nie świeci dla niego. O, straszną i okropną jest śmierć dla tego, co żył bez wiary i miłości, i umiera bez nadziei! Tell spokojny w swém miejscu, mniej wzruszony wyciem burzy, szumem wiatru i hukiem bałwanów, niż przed chwilą widokiem jaskini Grütli, śmiało oczekiwał śmierci, i obliczał w myśli korzyści, jakie ojczyzna ponieść może ze zguby Gesslera. W milczeniu i z pogardą przypatrywał się rozpaczy i strachowi śmierci okrutnego Rządzczy, gdy wtém jeden z sterników tak się odezwał: „Zginiemy zapewne; nie jesteśmy w stanie kierować statkiem, który wiatrem północnym gwałtem jest niesiony ku skałom nadbrzeżnym. Jeden tylko człowiek, sławny ze swój siły i zręczności we wszystkich trzech kantonach, byłby zdolny nas wybawić. Ten człowiek jest pomiędzy nami; Rządźco każ odjąć kajdany Tellowi, bo on jeden wybawić cię może od śmierci. Gessler zadrżał. Nienawiść, którą czuje dla Tella, walczy w jego duszy z miłością dla życia. Mileczy i waha się, lecz żołnierze i wszyscy przytomni naglą go do odpowiedzi, bo każdy w Tellu widzi zbawcę swego. „Niechaj mu zdejmą kajdany“, rzecze nakoniec Rządźca głosem niepewnym, „daję mu winy i życie, jeżeli ocalić nas zdoła.“

Wilhelm uwolniony z kajdan w okamgnieniu podnosi się i chwyta za stér. Silną dłonią kieruje statkiem i sprowadza go szczęśliwie napowrót do cieśniny, zkąd przed chwilą był wypłynął na burzliwe jezioro. Ciemność nie dozwala Gesslerowi spostrzedz, że jadą tą samą drogą napowrót, zkąd przybyli. Tak upłynęła noc cała. Światło gasnące na górze Altdorfu służyło za przewodnika Tellowi; zna on dokładnie to jezioro, omija jego skały i zatoki, przy-

bywa na brzegi kantonu Szwitz, a dorozumiewając się, że Werner ze swoimi, nie mogąc dla zaspów śniegu iść drogą, pójdą nad brzegiem jeziora, trzymając się ciągle nad brzegiem.

Nakoniec jutrzeńka ukazała się na wschodzie i burza zaczęła ustawać. Brzask dzienny ukazuje Tellowi skały Altdorfu, zanim jeszcze Gessler mógł rozpoznać gdzie się znajduje. Wioślarze spostrzegli to najprzód, mówią o tém Rządzczy, który głosem straszliwym pyta Tella, dla czego przywiódł statek napowrót do miasta. Tell zamiast odpowiedzi wrywa z rąk stojącego obok siebie żołnierza łuk i strzałę, popycha nogą statek kawałek od brzegu, i jednym skokiem staje na skale nadbrzeżnej. Ztąd wdziera się na szczyt wysokiej góry, i ukazuje się niby orzeł alpejski osłupiałemu z podziwienia Rządzczy i jego żołdactwu. Gessler w wściekłym gniewie wydaje krzyki straszliwe. Każe wychodzić na ląd żołnierzom i obstać górę. Chce, by wszystkie ich strzały przeszły serce Wilhelma. Lecz ten ma swoje zamiary i plany, przywabić do siebie o tyle nieprzyjaciół, by strzała jego dosięgnąć ich mogła; bierze na cel Gesslera, napina łuk, mierzy prosto w serce, i posyła doń swą strzałę. Tyran upada, czarna krew leje się z rany, i wśród obelg i złorzeczeń ducha oddaje. Wilhelm znikł w tej chwili, lotem błyskawicy zbiegł z spadzistej góry i bieży dobrze znaną mu drogą do Altorfu.

Wkrótce spostrzegł na śniegu liczne ślady stóp ludzi Wenera. Daży za nimi, i wkrótce wrzawa i okrzyki wojenne obijają się o jego uszy. Spieszy na plac i widzi go zajętem trzema oddziałami sprzyśniętym. Werner na czele swoich chce, by się upewniono o wszystkich bramach nim do ataku przy-

stąpią; Ralf woła z krzykiem do szturm. Walter idąc tuż obok niego, pokazuje mu miejsce, gdzie mniema, iż ojciec jego jeszcze jęczy w więzieniu. Stary Melktal, Jadwiga i Klara przebiegają szeregi walecznych, zagrzewając ich do boju. Wtém Tell ukazuje się pomiędzy sprzysiężonymi. Okrzyki radości zagrzmiały na jego widok i rozlegają się daleko pomiędzy górami. Potém głębokie nastąpiło milczenie, bo wszystko oczekuje rozkazów bohatera. „Bracia“, woła Tell, „Gessler nie żyje, jego ciało leży na brzegu jeziora, a zgraja jego żołdactwa rozpierchła się po jego stracie. Ojczyzna pomszczona, lecz nieoswobodzona jeszcze. Nie będzie nią, dopóki nie zburzymy do szczytu warowni, którą widzimy przed nami. Więc bracia śmiało do dzieła, naprzód kto najmężniejszy!“ To mówiąc bierze w jedną rękę sztandar kantonu Uri, w drugą siekiere, i spieszy na mury. Fürst ze swoimi spieszy za nim, Melktal już go wyprzedził. Walter idzie tuż przy ojcu. Sarnem gradem strzał ich przyjmuje. Oni nie lękają się ich i wdzierają się na mury. Sarnem każe swoim rzucać na nich kamienie i lać olej wrzący. Sprzysiężeni zmuszeni cofnąć się; olej przesiąka ich odzież i pali boleśnie ciało; wydają krzyki boleści, lecz umierając w męczarniach zagrzewają jeszcze swych braci do boju, by z ciał ich robili drabiny do wdarcia się na mury. Austriacy urągają się z ich boleści i z ich bezskutecznych wysiłen. Sarnem zagrzewa swoich do boju i obiecuje im wino i złoto w nagrodę.

Teraz Wilhelm woła Ralfa i rozkazuje mu, by się udał ze swymi do wschodniej bramy, podczas gdy on z Wernerem nacierać będą z frontu na nieprzyjaciela, by niespostrzegł tego obrotu. Melktal usłu-

chał rozkazu, biegnie z toporem, odbija słabo tylko obsadzoną bramę, każe podłożyć ogień i wkrótce pożar ogarnia tę część warowni. Ralf z okrzykiem zwycięstwa wdziera się w głąb' zamku. Wszystko ustępuje, ucieka, umiera. Sarnem broniąc się Tel-
lowi, słyszy okrzyki zwycięstwa. Chce biegnąć ku
tój stronie, wtém Melktal uderza go toporem i Sar-
nem pada nieżywy, kąpiąc się w krwi swój strumie-
niach, a sztandar Uri powiewa na murach warowni.
Wilhelm, Ralf i Werner, stojąc pomiędzy stósami tru-
pów, wznoszą do Boga dziękczynienia za odniesione
zwycięstwo.

Wkrótce uprzątńniono trupów z warowni, waleczni
z trzech kantonów zgromadzają się około swych wo-
dzów, prowadzą ich w tryumfie do miasta, gdzie lud
zbiega się tłumami, by widzieć swych oswobodzi-
cieli, by całować ich ręce i uwielbiać ich mężstwo i ro-
zum. Wilhelm nakazuje milczenie i tak do nich
przemawia:

„Bracia! wywalczyliśmy sobie wolność, lecz ten
dar kosztowny łatwiej jest osiągnąć aniżeli utrzy-
mać. Prawdziwa wolność zależy najwięcej na mo-
ralnej godności człowieka. Nigdy ten naród zupeł-
nie wolnym nie będzie, którego członki złym podle-
gają namiętnościom. Duma i chciwość władzy, gor-
szemi są nieprzyjaciółmi wolnego ludu, niż najemne
żoldactwo wrogów, bo one niszczą w zarodzie szczę-
ście i spokój jego. W narodzie wszyscy jesteśmy
użytecznymi członkami; biada temu, kto się wynosi
nad braci; biada ludowi, który go za tę zbrodnią
nie skarze. Zachowajcie wasze proste obyczaje i
enoty waszych pradziadów. Strzeżcie się także upo-
jenia zwycięstwem; strzeżcie się zbytniego ubóstwia-
nia tych, którzy wam je wywalczyli. Ja dla siebie,

obywatele, nie żądam, nie przyjmuję nic, jak imię waszego brata i prawo walczenia w waszych szeregach. Długie jeszcze czekają nas boje, bo Cesarz nie opuści tak łatwo władzy, którą sobie przywłaszczył nad nami. Lecz ufajmy Bogu, on nam dopomoże; wezwijmy resztę kantonów Szwajcaryi do naszego związku, one się połączą z nami zapewne, a wtenczas z pracą, cnotą i odwagą założymy rzeczpospolitą, na którą z poszanowaniem spoglądać będzie cała Europa.“

Przystał mówić, a lud głośnym okrzykiem okazał zadowolenie z słów jego. Potem przystąpiono do oboru nowego rządu. Tell, Melktal i Werner zostali czém byli, skromnymi obywatelami, a za całą nagrodę dostali wieniec z liścia dębowego. Lecz imię ich przechodząc z ust do ust do dalekiej potomności, z czcią wspominane będzie, dopóki męstwo i cnota zbudzać będzie poszanowanie w sercu człowieka!

K o n i e c.

Rozmaitości.

Wieczór balowy.

.
 Samotny w wielkiem obcém mieście przechodziłem się po pięknej szerokiej ulicy. Wokoło mnie w oknach zwierciadlanych roztaczały przepych i zbytki wszystko to, co tylko oko światowego człowieka tęcić, a serce próżnością i dumą tchnące zachwycać może. Był to zimny i dżdżysty wieczór

zimowy; przechodzą, otuleni w ciepłe futra i odzienia, uwijali się żwawo po ulicach. Wtém przemknęła się około mnie dziewczynka ośmioletnia w nędznym odzieniu, sukience perkalikowej, w małej chusteczce na szyi, a bosc jój nóżki zdawały się być skościale od zimna. W rękę niosła pakiecik, który starannie chowała pod fartuszkim. Biedne dziecię, jaką litość ono we mnie wzbudzało! W szybkim biegu pośliznęła się na kamieniu i upadła, lecz trzymając mocno w rękę pakiecik podniosła się żwawo, stłumiła jęk boleści, który się wydarł z jój piersi i chciała iść dalej, gdy jakaś wytwornie ubrana pani, ubrana w kosztowne futro poszyte adamaszkim, wychodząc z kramu złotnika, stanęła przed nią i rzekła słodkim i łagodnym głosem: „Biedne dziecię, czyś się bardzo skaleczyła? — Usiądź tu na progu i powiedz mi kto jesteś?“ O, jak miłą zdawała mi się ta pani, tak słodko i łagodnie rozmawiająca z ubogą dziewczynką!

„Nie mogę się zatrzymywać ani chwili“, odpowiedziało dziecię, „byłam właśnie u szewca po robotę, matka musi jeszcze dziś wieczorem wyhaftować te trzewiki balowe, inaczej nie dałby nam już na drugi raz roboty.“

„Jeszcze dziś wieczór?“ zapytała piękna pani.

„Tak“, odpowiedziało dziecię, ośmielone łagodnym spojrzeniem nieznanomój, „dziś w nocy jest wielki bal i na niego muszą te trzewiki być obszyte wstążkami i wyhaftowane złotymi nićmi.“ Pani wzięła w rękę paczkę, rozwinęła ją i spojrzała na nazwisko napisane w środku. Nie wiem dla czego zarumieniła się i zbladła; stojąc z boku, spostrzegłem wielkie wzruszenie na jój twarzy.

„Gdzie mieszka twoja matka?“ zapytała spieszo.

Dziecię wymieniło numer domu, potem opowiedziało, że ojciec umarł im przed rokiem, że brat leży chory, matka haftuje od rana do późnej nocy za pieniądze, a u nich jednak zimno i głodno, bo praca matki wystarczy zaledwo na używienie jój kilkoro dzieci. Ze matka często płacze, bo nie ma ani trochy mleka dla chorego braciszka.

Spojrzałem na piękną nieznajomą i spostrzegłem łzę błyszczącą w jój oku. Zwinęła prędko pakiecik i oddała go dziewczynce, lecz nie dawszy jój ani szeląga, powróciła spiesźnie do kramu złotnika, z kądem była wyszła przed chwilą. Gdy wchodziła do kramu widziałem w jój ręku błyszczącą broszę dyamentową. Wkrótce wyszła z kramu, wsiadła do wytworzonego pojazdu i zniknęła z mych oczu. Biedne dziewczę spoglądało za nią przez chwilę, a potem tém żwawiej udało się w dalszą drogę.

Ciekawością zdjęty szedłem za biedną dzieciną w wązką, ciemną uliczkę na przedmieściu, i widziałem jak weszła do biednego domku, od starości chylącego się. Stałem pod oknem i przez zamglone szyby zaledwo rozpoznać mógłłem, co się działo w ubogiej izdebce. Matka nie bardzo jeszcze stara, lecz z twarzą, na której nędza i boleść piętno swe wyryły, siedziała przy stoliku, na którym paliła się cienka łojowa świeca. Haftowała pilnie kolorową wełną i przytém kołysała nogą krzyczącego w kolebce chłopczyka. Wtém weszła do izby dziewczynka, oddała matce pakiecik, wyjęła z kołyski braciszka i uspokoiła go noszeniem. Matka odłożyła robotę kanwową i zajęła się haftowaniem trzewików. Wkrótce chore dziecko zasnęło na ręku starszej siostry, która je ostrożnie i starannie włożyła napowrót w kołyskę. Teraz matka ka-

zała jój się rozgrzać przy kilku żarzących się w kominku węglach i dała jój kawałek suchego chleba na wieczernę. Dziewczynka zjadła, ukłękła, zmówiła wieczorną modlitwę, a pocałowawszy rękę matki na dobranoc, udała się na spoczynek.

Prędko zasnęło biedne dziecię snem spokojnym. O czémże jój się śnić mogło? — Zapewne o ciepłych trzewikach i pończochach, o jasnej izdebce i o chlebie z masłem, którego nigdy nie dostawała!

Matka siedziała i haftowała; a gdy świetna jój praca błyszczała tak pięknie na atlasowych trzewikach, jakież uczucia musiały przejmować serce biednej wdowy, jakaż gorycz duszę jój napawać musiała! gdy pomyślała o bosych, obziębłych nóżkach swoich dzieci, o suchym kawałku chleba dla nich, na który zaledwie wystarczyła jój praca! A ten kosztowny trzewik, który trzymała w swym ręku, przypominał jój oświeconą salę balową, stoły zginające się pod kosztownymi potrawami, co z tych wszystkich zbytków jedna setna cząstka wystarczyłaby do przyodziania i nakarmienia jój dziątek! Do tych myśli dołączały się jeszcze zapewne wspomnienia szczęśliwszej przeszłości, kiedy żył jeszcze jój poczciwy małżonek, który przez swą pracę chronił ją od nędzy i niedostatku, kiedy miłość i jedność słodziły jój troski życia tego. Lecz nakoniec myśli jój musiały wrócić do Boga, bo złożyła ręce jak do modlitwy, i rzekła pobożnie: „Panie, niech się dzieje wola twoja! ty dajesz, ty odbierasz; kiedy ci się tak podobało zesłać na mnie nędzę i poniżenie, przyjmuję je chętnie od ciebie; czyń ze mną, co ci się podoba.“

Wtém zeicha drzwi się otworzyły. Czyż to anioł w niewieściej postaci ukazał się w ubogiej izdebce? Jój suknia była jak śnieg biała, jój chód lekki i cichy.

Stała przy łóżeczku śpiącej dziewczynki i rozłożyła na niem ciepłe sukienki i trzewiczki. Wkrótce na kominie zapalił się ogień, na stole pojawił się wielki bochenek chleba i dzban mleka. Anielska istota zbliżyła się teraz do matki, odebrała z jej ręki haftowane trzewiki, wręczyła jej duży woreczek pieniędzy i rzekła głosem, który biednej wdowie brzmiał gdyby niebiańskie harmonije: „Bóg, który jest ojcem wdów i sierót, zsyła wam tę zapomóżkę.“

To wyrzekłszy oddaliła się z izdebki; gdy wychodziła, słyszałem jak mówiła zcicha do siebie: „ta chwila więcej warta niż dyamenty.“ Co mogła rozumieć przez te słowa?

Spojrzałem raz jeszcze w okienko i widziałem jak matka z przebudzoną córeczką klęczały przed obrazem Matki boskiej i z łzami modliły się za anioła pocieszyciela, zesłanego im z nieba.

Opuściłem wązką uliczkę przedmieścia i przybyłem na wielki elegancki plac, wszedłem do okazałego pałacu i wkrótce znajdowałem się w pysznym salonie balowym, gdzie wonie kwiatów, huczna muzyka i światłość podobna do słonecznej, zmysły me czarodziejskim owładły urokiem. Widziałem piękne, wesole postacie, zdobne w bławaty i dyamenty, lecz wszystkie były mi obcemi. Nakoniec ukazała się jedna w skromnej białej sukni z pączkiem róży we włosach; tę poznałem od razu. Jej głos był słodki i miły, w jej spojrzeniu wyraz anielskiej dobroci. Na jej nóżce nie błyszczał trzewik złotem wyszywany; w jej włosach nie było drogich kamienni, lecz w jej obliczu malowało się tak błogie zadowolenie, taka słodycz i łagodność, iż patrząc na nią poznałem od razu owego anioła pocieszyciela, którego w chatce ubogiej wdowy widziałem.

M a c o s z k a.

Czy znacie ów kwiatek skromny i prosty, który, choć w ładne przywdziany barwy, kwitnie bez woni i wdzięku na grządkach naszych ogrodów? Nazwisko tego kwiatka przejmując niemiłym uczuciem serce każdej prawie niewiasty, a dla dzieci upartych i krnąbrnych, które swe matki gniewają, służy ono za postrach i groźbę.

Czemuż to ta nazwa macocha takim wstrętem powszechnie nas przejmuje? Wielka wprawdzie boleść i żal ten stan poprzedza, musiała wprzód wybić bolesna godzina rozstania w rodzinie, musiały węzły najświętsze być rozerwanemi, i ta, co żyła i uszczęśliwiała swą rodzinę, do grobu być odprowadzoną, zanim inna to imię na siebie przybiera. A jak ono często dla niej i drugich pełen goryczy kielich niesie za sobą!

A jednakże inaczej mogłoby działać się w tym względzie! Bo pięknem i szczytnem jest właściwie to powołanie. Gdy nieodzowne wyroki Opatrzności wezwą do siebie matkę rodziny i pogrążeni w boleści ojciec i dzieci zostaną, on bez pomocy, one bez macierzyńskiej opieki, jak szlachetnym jest zadaniem przynieść pomoc i pociechę w tę opuszczoną rodzinę!

Być macochą jest wprawdzie trudnym powołaniem i tylko umysły bardzo szlachetne zdołają zrozumieć je dokładnie. Lecz gdy niewiasta z miłością i poświęceniem przyjmie ten obowiązek na siebie, gdy swego szczęścia szukać tylko będzie w uszczęśliwianiu powierzonych sobie istot, swego spokoju w ich przywiązaniu, swój dumy w ich moralnym i fizycznym kształceniu; gdy potrafi wznieść się nad przemijające uciechy tego świata, i życie swoje chętnie poświęci

trudom i pracy, wtenczas może spokojnie oczekiwać ostatniej godziny, bo pewna czeka ją w niebie nagroda.

Gdy wypełniała sumiennie te obowiązki, które tak często źle zrozumiane, a częściej jeszcze gorzej wykonywane bywają, wtenczas może śmiało stanąć przed tronem Sędziego najwyższego i z niewypowiedzianą błogością powiedzieć: „Oto są istoty, któreś Panie powierzył mój pieczy; nie straciłam ci z nich żadnego, lecz wychowałam je na chwałę twoją i pociechę mych bliźnich.“

Dawno to znaną jest prawdą, iż nie trwałego nie masz pod słońcem, wszystko się zmienia i nową postać przybiera, wszystko starzeje się, wędnieje, psuje się i niknie. Tak też obyczaje i zwyczaje ludzkie podlegają temu nieodzownemu losowi. U nas zwłaszcza niewiast moda wszystkie szczeliny życia naszego przesiąka. Nietylko ubiór nasz, nietylko sprzęty, ale nawet obchodzenie się z ludźmi, nawet roboty i zatrudnienia nasze, podlegają tej wszechwładnej rządzczyni życia naszego.

Gdyby jaka prababka nasza zesza wśród nocnej ciszy na skrzydłach anioła z tamtego świata do naszego mieszkania, by się naocznie przekonać, jak jej prawnuczki zachowują cnoty domowego życia: pilność, rzędnosć i pracę, zdziwiłaby się nie mało, gdyby zamiast znanych sobie krosien, kądzieli, wrzecion i kołowrotka, zobaczyła na naszych polisandrowych stoliczkach do robót owe rozmaite przedmioty, potrzebne do naszych terażniejszych robótek, kosztowne jedwabie, perły, perełki, różnobarwne wełny, dróty, papiery, skóreczki, gummy, pędzelki, i te tysiączne drobnostki, które każda niemal podług mody żyjąca niewiasta koniecznie dzisiaj do swych zatrud-

dnień potrzebuje, a które mężowie za swe czasem bardzo ciężko zapracowane pieniądze zdaleka sprowadzać muszą. Czy śmieszne, czy bolesne przejęłoby ją uczucie, gdyby otworzyła nasze szafy i zobaczyła naszą bieliznę w najwykwintniejsze obhaftowaną sposoby, obszytą kosztownymi koronkami, a przytém nie w jedném miejscu potrzebującą naprawy.

W porównaniu do starodawnych prac prababek naszych, jest w naszych dzisiejszych robótkach postęp nie mały, bo nie jeden przedmiot służący do upiększenia naszych salonów, do przyozdobienia naszej i dzieci naszych odzieży, wyjdzie z pod zręcznych i pilnych rąk naszych; kiedy przeciwnie zabytki z dawnych prac prababek naszych, nie świadczą o wielkim ich smaku, lecz tylko o gruntownej ich pracowitości. Jednakże wiele one użytecznych i trwałych robiły rzeczy, które my przy naszych modzie tylko podlegających robótkach zupełnie zaniedbać musimy. Możeby prababki nasze gorzko zapłakały nad tém, gdyby widziały, jak ten polor powierzchowny, ta elegancya w salonach, pokrywa nieład w spiżarni i kuchni, jak wielki uszczerbek robi w majątkach, jak coraz bardziej rodzinna ziemia usuwa się z pod stóp ich prawnuków.

Tak, postęp jest tylko wtenczas chwalebny, gdy do dobrego prowadzi; lecz gdy się naprzód ku coraz większej postępuje przepaści, lepiej jest cofnąć się wstecz zawczasu i patrzeć w tę stronę, zkąd zamożność, prawowierność i prostota obyczajów przychodziła, niż iść naprzód tam, gdzie zbytnia i niepotrzebna cywilizacya przynosi coraz to pewniejszą moralną zgubę i zniszczenie.

Dziesięć prawideł życia.

1. Nie odkładaj na jutro, co możesz zrobić dzisiaj.
2. Nie proś o to drugich, co sam potrafisz.
3. Nie wydawaj pieniędzy pierwój, nim je mieć będziesz.
4. Nie kupuj nic, czego niepotrzebujesz, dla tego tylko, że tanio.
5. Duma kosztuje nas więcej, niż głód, pragnienie i zimno.
6. Jeszcze tego nikt nie żałował, że mało jadł i mało mówił, ale obżarstwa i wielomówstwa już wielu.
7. Nic nie jest przykrem, co z chęcią czynimy.
8. Najwięcej cierpień naszych pochodzi z własnej winy.
9. Wszystkie rzeczy bierz z dobrej strony, a przede-wszystkiem ludzi.
10. Gdy się czujesz w gniewie, policz w myśli dziesięć, niż zaczniesz mówić; jeżeliś w złości, policz sto.

O dobrej żonie.

Z przypowieści Salomona.

Rozdział 31.

Kogo Bóg dobrą udarował żoną,
 Ten nad perły, skarby liczy;
 W niej ufność jego; gdy ona ochroną,
 Ani mu trzeba zdobyczy.

Ciągle się krząta koło lnu i wełny,
 Przemysłną ręką wyszywa;
 Ona jest okręt, co żywnością pełny
 Codzień do brzegu przybywa.

Wstaje przed słońcem i sługi do pracy,
 Prac i posiłku zgromadza;
 Obchodzi ogród, a z zysku swój pracy
 Nową winnicę zasadza.

Okolo czynnej wszystko czynne chodzi,
 Otucha lice jój krasi;
 Wciąż praca sporzy, wciąż ziemia jój rodzi,
 Noc całą światła nie gasi.

To szyje szaty, to kręci wrzeciona,
 Jój ręką biedni okryci;
 Przez nią sierota z nędzy wybawiona,
 Ona głodnego nasyci.

Ona do datku zawsze klucze trzyma,
 Zapas odzienia w jój domu;
 Już opatrzyła gdy nadchodzi zima,
 By szat niebrakło nikomu.

Bezpieczna potrzeb, myśli o przyzdobie,
 Szkarlatem sprzęty pokrywa,
 Jedwabne szaty obmyśliła sobie,
 Bo mąż jój w mieście przebywa.

Zasiada w radzie pomiędzy starszemi,
 Lecz z tąd się dumną nie staje;
 Ubiera dzieci własnymi rękoma,
 Sama im pokarm rozdaje.

Czystość i baczność jak strój ją ubiera,
 Na przyszłość patrzy wesola;
 Dobroć i litość usta jój otwiera
 I względność sieje dokoła.

Dozorném okiem przegląda dom cały
 I nie da chleba gnuśnemu;
 Synowie mężni wzrosli dla jój chwały,
 Dla chwały ojcę szczęsnemu.

Zmienne są wdzięki, ale bojaźń Pana
 Niewiastę pod niebo wznosi;
 Ona potomstwem jak wieńcem ubrana,
 Światu przysługę przynosi.

Każ z Królowki.

Złote pszczoły,

czyli:

Stare zamczysko w Bydgoszczy.

Gadka wielkopolska dla dzieci.

Pogodne słońce wiosenne ozłociło swemi jasnymi promieniami szczyty starożytnych wież i kościołów Gniezna, lecz to zwykle tak wesole i ożywione miasteczko było dzisiaj tak posępne i smutne, jak gdyby anioł śmierci skrzydła swe nad niém rozszerzył. Po ulicach przechodzili się ludzie w żałobnym ubraniu. Wkrótce posępna cichość przerwana została. Wspaniały i smętny głos dzwonów zabrzmiał uroczysto, a unoszony lekkim powiewem wiatru rozległ się po dalekiej okolicy. — Wszystko, co żyło, dążyło do porządnej kamienicy, przed którą orszak pogrzebowy gromadzić się zaczął. Woroński, jeden z najzamożniejszych obywateli, ojciec wdów i sierót, miał być odprowadzony do grobu. Był on dziwnym przypadkiem zabity w sile wieku przez cegłę spadającą z sąsiedniego dachu. Niegdyś znaczny majątek zmarłego nadwreżony był bardzo przez zbytnią dobroczynność jego, lecz jego wdowa i syn jedyny Stefan, nie troszczyli się o to, bo liczyli na wdzięczność

całego miasta, a łzy, które wszystkie mieszkańcy wlewali po nim, i dowody przywiązania im okazywane, były im rękojmią, iż nie zostaną opuszczeni, i ożywiały odwagę i nadzieję biednej wdowy i sieroty.

Bączyński, szlachcic z okolicy, prowadził Woroińską za ciałem zmarłego; a gdy chwila ostatniego rozstania nadeszła i zaczęto sypać ziemię na spuszczoną do grobu trumnę, on wspierał i trzęźwił omdlającą niewiastę.

Wszyscy otaczający płakali głośno przy tém ostatniem pożegnaniu, lecz łzy, które świeży rosily grobowiec, oschły prędko, a z niemi i pamięć wszystkich dobrodziejstw, które zmarły Woroiński tak obficie rozdzielał. Mówiono o nim jeszcze czasem, iż był dobry i uczciwy, lecz niedbano o to, że jego wdowa i sierota w ubóstwie zostały. Tylko Bączyński, który na pogrzebie tyle okazywał współdziału pani Woroińskiej, odwiedzał ją bardzo często, i wkrótce rozniosła się po mieście pogłoska, iż znakomity szlachcic nie zważając na swój ród i znaczenie, żeni się z ubogą wdową mieszczanina. — W samej rzeczy Bączyński oświadczył się o jej rękę, lecz poczciwa wdowa odmówiła jego żądaniu, przedstawiając mu, iż podobny związek poniżyłby go w oczach świata, i że przed ukończeniem żałoby nie może żadnej stanowczej dać mu odpowiedzi. Lecz najważniejszym powodem do téj odpowiedzi był jego dziwaczny, ponury sposób myślenia, gdyż często zdawało się nawet, iż cierpi pomieszanie zmysłów.

Bączyński nie dał się odstraszyć i w inny sposób zaczął starać się o względy strapionej wdowy. Przez rozmaite podchlebstwa i grzeczności ujął sobie tak czternastoletniego jej syna Stefana, iż ten prosił matki, by mu Bączyńskiego za opiekuna obrała.

Dziwny wybór znakomitego szlachcica przypisywano powszechnie melancholii, która go już od kilku lat opanowała. Wszyscy zważali teraz na niego więcej niż dawniej, i wkrótce zaczęły się różne dziwne o nim szerzyć pogłoski. Powiadano, że cierpi pomieszanie zmysłów, że przesiaduje po całych nocach nad zwojami starego pergaminu, i że jego najmilszym zatrudnieniem jest przewracanie wszystkich starych szpargałów w księgozbiornie Ojców Franciszkanów, za co go już nieraz tameczny Przeor, który jest jego wujem, zgromił lub wyłajał.

Położenie pani Woronńskiej po śmierci męża stało się coraz smutniejszym. Wierzycciele zgłaszali się jeden po drugim, i grozili skargą sądową, jeżeli ich nie zaspokoi. Była zmuszoną posprzedawać co miała z kosztowniejszych sprzętów, by ująć ich naleganiom. Bączyński wspierał ją wspaniale w tej smutnej doli; a gdy czas żałoby upłynął, ponowił swoje oświadczenia, lecz wdowa została stałą i niczem nie dała się nakłonić do oddania mu ręki.

Nędza jej wzmagala się codziennie, gorzki kłopot uciskał serce niegdyś tak szczęśliwej niewiasty, nakoniec zapadła w ciężką chorobę i wkrótce stracono wszelką nadzieję wyleczenia jej. Gdy już była bliską zgonu, zawołała syna swego i rzekła do niego: „Drogiu dzieciu moje, wkrótce zostawię cię samego na świecie i pójdę do ojca naszego w niebiesiech, by się tam połączyć z ukochanym mężem moim, którego wspomnienie tak nam jest drogiem. Będę tam błagała Boga za tobą, by cię w swęj miał opiece, i nie wypuszczał z nięj biednego sieroty. Jedynym opiekunem, który ci tu na ziemi pozostaje, jest Bączyński, on opiekował się mną szczerze i ciebie nieopuści zapewne.“

Bączyński był wówczas w dalekiej podróży. Na kilka dni przed śmiercią Woroińskiej powrócił i wszedł do pokoju chorój. Zastawszy Stefana przy łożu matki, podał mu rękę i rzekł natarczywie: „Gdzie jest twój majątek?“ A gdy mu chłopiec spokojnie powiedział, iż on jako opiekun wie najlepiej, że z majątku po jego ojcu nie zostało nic więcej jak kawał zadłużonego gruntu, Bączyński odepchnął go, wybiegł spiesźnie z pokoju i nie ukazał się więcej.

Chora słabła widocznie, nakoniec okropne konwulsye wykrzywiły jęj oblicze, i po krótkiej, lecz bolesnej walce, uleciała jęj dusza w nadziemskie krainy.

Biedny chłopczyna odchodził od zmysłów z boleści, rzucił się na kolana przy łożu umarłej matki, i dopiero potok łez i gorąca modlitwa zdołały ulżyć nieco ściśnionemu sercu opuszczonej sieroty.

Wkrótce zeszli się dobroduszni sąsiedzi i radzili Stefanowi, by przedewszystkiem oznajmił zgon matki opiekunowi, który się powinien zająć jęj pogrzebem. Lecz Stefan zastał drzwi opiekuna na zasuwkę zamknięte, a gdy zapukał i prosił by mu otworzył, i powiedział mu, iż matka jego umarła, pan Bączyński zawołał strasznym głosem: „Precz ztąd djabelski natrećcie, nie chcę z żebrakami nic mieć do czynienia.“

Kilku sąsiadów usiłowali także zmiekczyć tego szaleńca, lecz i oni nie wskórać nie mogli, i tak tylko kilku dawnych znajomych odprowadziło skromnie do grobu ubogą wdowę.

Bączyński sprzedał później zadłużony kawał gruntu, pozostały po wdowie Woroińskiej, i wyrachował tak wysoko wszelkie wsparcie, które jęj podczas choroby udzielił, iż dla biednego sieroty nie pozostało ani grosza.

„O Boże! któż teraz zlituje się nademną“, rzekł

Stefan wśród łez i łkania; „jestem teraz biednym żebrakiem, który musi u drzwi bogaczy prosić o kawałek chleba.“

Z początku zajmowano się biednym sierotą i dawano mu obiad lub wieczerzę, lecz to nie długo trwało i wkrótce był Stefan nieledwie od wszystkich drzwi surowo odepchnięty. Nawet do roboty niechciano go przyjąć, bo mówiono, iż jest za delikatnie wychowany i za słaby do tego.

Pelen boleści poszedł nad brzegi jeziora, które oblewa miasto z południowej strony, rzucił się twarzą na ziemię i tak się modlił ze łzami: „O Boże wszechmogący, który jesteś ojcem i opiekunem sierót, zlituj się nademną, wskaż mi drogę, którą mam postępować, bym się z téj nędzy wydobył i stał się uczciwym i użytecznym człowiekiem.“

Po dłuższej modlitwie, czuł się trochę uspokojonym, jakoby męstwo i odwaga wstąpiły w jego duszę.

„Mój ojciec“, mówił do siebie Stefan, „nie chciał być niczém więcej, jak skromnym mieszczaninem, dla tego przybrał inne nazwisko; lecz tam ku północy, nad rzeki Brdy brzegami, stoi gród rodzinny naszych przodków. Ojciec opowiadał często o bogactwach, które posiadali, lecz zmiennego losu koleją potomkowie ich zubożeli do szczytu. Udam się w owe strony, wszakże wszędzie jestem w ręku Boga, może znajdę tam jeszcze jakiego bogatego krewnego.“

Wokoło panowało głębokie milczenie. Jezioro czyste i spokojne rozszerzało się u stóp jego niby ogromne zwierciadło; nagle ukazała się na jeziorze od strony tumu biała postać i zmierzała prosto ku zdziwionemu chłopcu. Strach przejął go nie mały, chciał uciekać, ale nogi jego drżały tak, że się ruszyć nie mógł. Wkrótce stanął przed nim starzec ogromnej

postawy, z siwą aż do pasa brodą, w srebrnym szyzaku i błyszczącej karabeli u boku.

„Nie bój się, pobożny chłopcze“, rzekł do niego łagodnym głosem, „ty pochodzisz z mojego rodu i wielkie przeznaczone ci są skarby. Widzisz tam szczyty klasztoru Franciszkanów. W nim to spędziłem ostatnie lata moje jako mnich na pokucie i skrusze. Byłem księciem i posiadałem wspaniały zamek w Bydgoszczy nad rzeką Brdą, opodal klasztoru Bernardynów. Wielkie bogactwa, które rodzice moi uzbierali, były moją własnością, dla tego cała szlachta okoliczna była na moje rozkazy. Żyłem tam szczęśliwie z moją jedyną siostrą Oldyną, gdy jednego wieczora oznajmiono nam przybycie rycerza, który powracał ze ziemi świętej i prosił o gościnę na dni kilka. Znużony długą podróżą, chciał wypocząć i wrócić do sił na naszym zamku. Przyjeśliśmy go jak najlepiej, a on oddał nam do schowania pudełko z oliwnego drzewa z kosztownymi klejnotami, które zdobył w bitwie ze Saracenami. Swego nazwiska powiedzieć nam nie chciał i nie zdjął przyłbicy, mówiąc, iż zmusza go do tego ślub, który uczynił, by przez trzy dni pozostał nieznany na moim zamku. Nieznajomy udał się do naznaczonych mu pokoi, i znużony podróżą zasnął prędko na swém posłaniu. Moja siostra nie mogła się oprzeć ciekawości; otworzyła pudełko i ledwie nie zemdląła z zachwycenia na widok prześlicznych klójnotów. Chciała potem poznać téż ich właściciela, a że spał mocno, więc wzięła lampę, wsunęła się na palcach do jego pokoju i zdjęła mu z głowy przyłbicę. Lecz gwałtowne uczucie zemsty zapaliło się w jej duszy, bo w nieznajomym poznała mordercę brata swego. Po dług pewnych wiadomości, któreśmy niedawno z ziemi

świętej odebrali byli, zabił ów gość brata naszego, który z nim razem udał się na wojnę krzyżową, za to, iż był przez tegoż o różne zbrodnie posadzony. Spieszno doniosła mi to odkrycie, namawiając mnie do zemsty. Przekładałem jej, jak szkaradnym jest czyn taki, jednakże nie mogłem wstrzymać jej od tego, iż utopiła sztylet w sercu śpiącego rycerza. Po spełnieniu tej zbrodni, nie mogliśmy zasnąć, bo sumienie niepokoiło nas straszliwie. Wtém o północy zakolatano do bramy zamkowej, i — o dziwy! brama otworzyła się bez mego rozkazu, a wkrótce ukazała się znajoma postać oczom naszym. Brat, którego zabitym mniemaliśmy, stał żywy i zdrow przed nami. Przestraszył się niemało na nasz widok, gdyż bledzi i drżący staliśmy przed nim, nie zdolni wyrzec słowa na przywitanie. Opowiadaliśmy mu zmieszani, iż się rozeszła pogłoska o jego śmierci, i naoezni świadkowie opowiadali nam, kto był jego mordercą. Potém zaprowadziliśmy go do zamordowanego rycerza, wyznając ze łzami, iż miłość braterska przywiodła nas do tej zbrodni.

„O zbrodnie niesłychana!“ wołał brat nasz z rozpaczą, rzucając się przy ciele umarłego. „Mego najdroższego przyjaciela zamordowaliście nieszczęśni! On to właśnie ocalił mnie z rąk zabójczych nieprzyjaciół moich! Nigdy, nigdy nie ujrzycie mnie więcej!“

To mówiąc nasz brat kochany, wybiegł ze zamku. Okropna burza wszczęła się nagle, wichur gwałtowny świszczał i huczał, łoskot grzmotu towarzyszył błyskawicom, krzyżującym się na ciemnym tle niebios. Każdy piorun zdawał nam się być zwiastunem czekającej nas kary. Śmiertelnym strachem przejęci siedzieliśmy skurczeni w najciemniejszym kąciku naszej komnaty.

Nasz brat nie powrócił do nas. Po wielu latach doszła nas wiadomość, iż wróciwszy do ziemi świętej, dokazywał tam cudów waleczności i zginął na polu chwały. Moja siostra umarła wkrótce z żalu i wyrzutów sumienia, a ja wstąpiłem do tutajszego klasztoru OO. Franciszkanów, by tam me życie na pokucie zakończyć. Jedną połowa naszych niezmiernych skarbów znajduje się w podziemnym ganku zamku bydgoskiego, druga zaś i owe pudełko z klejnotami są zakopane tutaj pod miastem, pod sosną, na której są wyrżnięte na znak trzy krzyże. Uczyniłem ślub, iż te skarby dopiero w tym roku mogą być przez najbliższego spadkobiercę odkryte, a to dla tego, aby wprzód trzecie i czwarte pokolenie moje wymarło, lękając się, aby owe w piśmie świętym zapowiedziane przeklęctwo nie spadło na niewinne członki mojej wówczas bardzo rozkrzewionej familii. Dzisiaj ty jedyny pozostałeś z naszego rodu. Jesteś więc prawym spadkobiercą tych skarbów. Udaj się do Bydgoszczy, opowiedz wszystko, co odemnie słyszałeś, Gwardyanowi tamecznego klasztoru OO. Bernardynów, i proś go, by poszedł z procesją do podziemnego ganku starego zamczyska. Tam dostaniesz zwój pergaminu, za którego pomocą dostaniesz się w posiadłość przynależnego ci spadku. Dopiero gdy skarby te będą w twych rękach, osiągnę wieczną spokojność. Moja siostra przez to tylko zbawioną być może, gdy człowiek serca czystego i niewinnego, ujrawszy ją, zmówi trzy Ojczy nasz i trzy Zdrowaś Marya. Gdy ją ujrzysz, zmów te pacierze, może ty właśnie jesteś wybranym uprosić dla niej wieczny odpoczynek.“

Postać zniknęła po tych słowach. Stefan wzmochnął się snem spokojnym na nadchodzącą podróż.

Wesoło i odważnie szedł nazajutrz dzień cały ku Bydgoszczy, tworząc rozmaite plany, jak będzie dopomagał bliźnim swym ogromnym majątkiem, który mu tak cudownie obiecany został.

Gwardyan Ojców Bernardynów przyjął go bardzo uprzejmie, a usłyszawszy jego dziwną przygodę, chętnie wszystkie jego życzenia wypełnił. Ażeby nie rozgłosić tego dziwnego zdarzenia, postanowiono odprawić procesyą wieczorem. Zakonnicy udali się na ganek z zapalonemi gromnicami, i wśród pobożnych pieśni zaczęli przechodzić po nim. Zaledwie uszli byli kilka kroków, gdy znienacka podniósł się gwałtowny wicher i zagaślił wszystkie gromnice. Trzy razy pogaszone im zostały. Nakoniec opuścili te miejsca, o których dawno już wiedziano, że tam pokutuje, nie zważając na to, iż chłopca nie było przy nich.

Stefan tymczasem pobiegł daleko naprzód w głąb' podziemnych ganków, gdzie połowę swego majątku spodziewał się znaleźć; a gdy nikt nie przychodził za nim i głęboka ciemność panowała dokoła, położył się na zimną podłogę, polecił się opiece boskiej i zasnął. Krótco po północy obudził się, wokoło niego cisza panowała grobowa. Wszystkie zdarzenia, które go w tych kilku dniach spotkały, byłyby mu się snem zdawały, gdyby go wilgotne ściany ganku nie były przekonywały o rzeczywistości. Wtém szelest, który się wkrótce zamienił w gwałtowny szum wichru, przejął go niezmiernym przestraczem, a z pomiędzy różowych obłoków ukazała mu się śliczna postać niewieścia. Miała na sobie białą suknię z powłokiem, obszytą drogiemi koronkami, trzewiki złote z srebrnemi koreczkami, które przy każdym stąpieniu wydawały dźwięk miły. Z głębokim westchnieniem

przeszła koło niego. Stefan zasłonił oczy rękoma i zapomniał o pacierzach i zwoju pergaminu. Po chwili odważył się znów spojrzeć koło siebie. Książeczka już była znikła, ale obłoczek różowy unosił się jeszcze pod sklepieniem. Zdawało się Stefanowi, iż widzi tysiące błędnych światełek, takie jasne promienia otaczały obłoczek wokół. Wkrótce spostrzegł, iż to rój pszczół złotych roztaczał one czarodziejskie światło. Brzęczące owady, świecące niby czyste złoto, przybliżyły się tak do niego, iż im się mógł jak najlepiej przypatrzeć. „Muszę złapać którą z nich“, pomyślał sobie, i wyciągnął rękę; wtém przypomniało mu się, że pszczoły kolą; lecz już było zapóźno. Kilka z nich usiadło mu na rękę i ukłuły go tak mocno, że boleść wskrós go przejęła. Jednakże prędko zapomniał bólu, bo właśnie w tój chwili spostrzegł na ziemi stary, żółkły zwój pergaminu. Ciekawie schwycił i obejrzał kosztowny przedmiot, lecz znalazł na nim tylko te kilka słów napisane: „Zbierajcie skarby, których ani rdza, ani mole nie zjedzą, i których złodzieje nie skradną i nie wykopią.“ Prawda tych słów oświeciła cudownie rozum jego.

„Gonię“, mówił do siebie „za bogactwami, a przecież one niemogą uszczęśliwić człowieka. Tylko czyste i pobożne serce jest źródłem wszelkiej szczęśliwości, a praca i oszczędność przyniesie zysk obfity.“

Jego radość zmniejszyła się bardzo; nie mógł sobie wytłumaczyć, dla czego ten zwój pergaminu tak wielkiej miał być wartości; jednakże ufał słowom swego pradziada, i spodziewał się, iż przez niego osiągnie pomoc do zaczęcia jakiej użytecznej pracy.

Rój pszczół leciał teraz ku wychodowi, a Stefan szedł za nim. Właśnie dzień zaczynało. Chłopiec

rozważał sobie, co ma począć, i postanowił powrócić z kąd przyszedł; lękał się bowiem ukazać przed zakonnikami, bo nie mógł zamilezeć, iż zapomniał zmówić pacierza ujrzawszy potępioną księżniczkę i oprócz tego przypisywał swemu nierozważnemu pośpiechowi w głąb' ganku, iż procesya nie mogła być wykonaną. Postanowił zatem prosić pierwszego lepszego wieśniaka, by go przyjął w służbę.

Wielki pośpiech, z którym odprawiał podróż do Bydgoszczy, teraz dopiero dał mu się uczuć. Nogi tak go bolały, iż z początku ledwo się z miejsca mógł ruszyć. Włókł się więc powoli, spoglądając smutnie przed sobą na ziemię. Wtém zaświeciło mu się coś przed oczyma, schylił się i zdziwił nie mało, gdy ujrzał kilka z owych pszczoł, które go przeszłej nocy tak zadziwiły. „Nie dam wam się tu zmarnować, biedne stworzonka“, rzekł, i zmiótł je gałązką sosnową na zwój pergaminu, który niósł w ręku, przypatrując się przytém ślicznej ich postaci. Piersi i plecy były u nich jasno-niebieskie, upstrzone białemi wypukłemi kropkami, które błyszczały niby diamenty. Dolna część ich ciała była złota i mieniła się w rozmaitych odcieniach. Skrzydelka, małe purpurowe wachlarzyki, zdobne czarnemi arabeskami, odbijały się w jasnej koronie, którą miały na czarnej główce, podobnej do kropelki rosy. Ich błyszczące szare oczka zdawały się spojrzeć z rozoznaniem około siebie. Szare nóżki, złotemi ozdobione kropkami, i brązowe macadelka, uzupełniały to arcydzieło natury.

Stefan, cały pogrążony w podziwianiu przeslicznych owadów, nie zważał na to, iż jego zwój pergaminu coraz cięższym się stawał. Naraz spostrzegł, że cały rój pszczoł, przyleciawszy z przyległego lasu,

obsiadł pergamin i uniósł go ze sobą w powietrze. Złężniony chłopiec ścigał go z dużą gałęzią w rękę, ale pszczoły zawsze o kilka kroków od niego się trzymały. Nakoniec uwiązały się na stariej sosnie i upuściły zwój pergaminu na ziemię. Stefan podniósł go spiesźnie i schował do kieszeni.

Pień sosny był wypruchniały i służył pszczołom za mieszkanie; z początku kilka z nich tylko wleciało do niego, lecz później jakby za danym znakiem wszystkie się w nim ukryły.

Gdy tak przypatrywał się pszczołom, chłopiec zakrzyknął na raz radośnie, bo ujrzał wyrżnięte na drzewie trzy krzyże. Zaczął starannie oglądać ziemię około drzewa, i otóż na miejscu, gdzie upadł zwój pergaminu, spostrzegł coś świecącego, a odgrzebawszy ziemię rękoma, znalazł skrzyneczkę żelazną, pełną najśliczniejszych klójnotów. Stefan włożył tylko niektóre z nich do kieszeni, resztę przykrył znów ziemią, i naznaczył sobie drogę do owego drzewa, rzucając na nią raz po raz wiązki mchu zeschniętego.

Uszedłszy spory kawał drogi, nie mogąc poskromić swjej ciekawości, usiadł na ziemi i zaczął wyjmować jeden przedmiot po drugim, podziwiając piękność każdego z osobna. Niebyło zapewne w tej chwili szczęśliwszego człowieka na świecie nad ubożego Stefanka. Pogrążony w przypatrywaniu się swym skarbowi, nie spostrzegł, że przed nim stanęło kilku ludzi. Byli to mieszczanie Bydgoszczy, powracający z jarmarku. Chciał prędko schować swe klójnoty do kieszeni, ale już było za późno, i tém większe ściągnął przez to na siebie podójrzenie. Musiał powiedzieć, z kąd wziął te kosztowności; a gdy wyznał, że je znalazł na drodze, zabrano go napowrót do Bydgoszczy.

Tu zaprowadzono go przed Burmistrza, który mu odebrał wszystko, co znaleziono przy nim, i oświadczył, iż chłopiec tak długo zostanie uwięziony, dopóki się nie okaże, czy znalazł lub ukradł te klójnoty.

Stefan siedział kilka tygodni w więzieniu, kiedy zgłosiła się jakaś bogata pani do Burmistrza, że te klójnoty oniej ukradzione zostały. Biedny chłopiec został powołany przed sąd, lecz gdy z płaczem pobiegł do Burmistrza, skarżąc się na wyrządzoną mu krzywdę, przeląkł się nie mało, zastawszy tam swego dawnego opiekuna.

Bączyński był przyrodnim bratem Burmistrza. Jego pierwszym zapytaniem było, co ten chłopiec zawinił? Po krótkiej tajemnej rozmowie pomiędzy braćmi, posłano po Stefana, który tymczasem znów był odprowadzony do więzienia. Burmistrz i Bączyński przyjęli przelękłego chłopca jak najmiliej, zaprosili go ze sobą do obiadu i powiedzieli mu, iż Burmistrz przyjmie go za syna, jeżeli im wszystko opowie otwarcie, gdzie znalazł owe skarby.

Opiekun spytał Stefana, czy nie znalazł tych rzeczy pod sosną naznaczoną trzema krzyżami? Biedny chłopiec w wielkiem pomieszaniu wyznał, iż rój pszczół osobliwych znęcił go do lasu, aż pod drzewo, gdzie znalazł te rzeczy. Drugie pytanie tyczyło się zwoju pergaminu, i pewno byłby się i z tém wygadał, gdyby podczas uwięzienia nie była mu przyszła myśl z obawy stracenia co miał najkosztowniejszego na świecie, rozwinięcia zwoju i włożenia za podszewkę od surduta. Powiedział więc, że nie wie o żadnym piśmie, również zamilczał zupełnie o swęj bytności w podziemnym ganku. Na tém poprzestał Bączyński, ale Stefan, który zmyślił pierwszy raz

w swém życiu, bardzo był niekontent z siebie samego, atoli uspokoił się tą myślą, iż Bóg nie może gniewać się o to, kiedy on przez to kłamstwo uchronić się chciał z rąk niegodziwca, który go pozbawił całego spadku po rodzicach. Jednakże gdy pomyślał, iż Burmistrz mógłby się zejść przypadkiem z Gwardyanem, a ten nadmienić co o owój procesyi w podziemnym ganku, wtenczas rumieniec wstydu występował mu na lica i byłby rad uciec ztąd daleko. Takto kłamstwo, chociaż na pozór najpotrzebniejsze, dręczy i niepokoi człowieka.

Bączyński opowiadał swemu bratu obszernie, jak od jednego zakonnika Franciszкана dowiedział się c tém, iż się w ich klasztorze znajduje rękopism jednego ze zmarłych tam Ojców, który o wielkich w ziemi zagrzebanych skarbach donosi. Lecz że o tém pismie i o tych skarbach wie tylko każdy Przeor, który za każdą razą przekazuje tę tajemnicę następcy swemu, dopóki nie upłynie czas, w którym ślub bogatego spadkobiercy ma stracić wartość.

„Gdy się o tém dowiedziałem“, mówił dalej niepozyciwy Bączyński, „zamieszkałem celę klasztorną i okazywałem naszemu wujowi Przeorowi przychylność, na jaką się tylko zdobyć mogłem, co go niewymownie dziwiło. Lecz wszystkie usiłowania moje były daremne. Wujaszek nigdy mnie nie zostawił samego w swój celi, mówiąc, iż tego nawet swemu najbliższemu krewnemu zezwolić nie może. Po długim rozważaniu przyszedłem nakoniec na szczęśliwą myśl. Rękopism ten musiał się znajdować w księgozbiornicy klasztornej, w szafie mocno zamykanej, do której sam Przeor klucz nosił zawsze w kieszeni i niechętnie bardzo księgi z owój szafy wyjmował. Zacząłem pilnie czytywać w księgozbiornicy klasztor-

nym, nakoniec prosiłem o jaką książkę z onej szafy. Moja prośba została spełnioną, wujaszek otworzył szafę, a ja przypatrzyłem się dobrze zamkowi i zrobiłem z ręcznym odcisk z wosku. Wielka zakurzona księga, w kąciку leżąca, zajęła mnie mocno. Prosiłem o nią, lecz odebrałem odpowiedź, iż nie zawiera nic ważnego. Pomimo, że tytuł bardzo był zakurzony, rozpoznałem jednak trzy pierwsze słowa. W katalogu nie było księgi z takim tytułem. Wkrótce zdarzyła mi się sposobność, w niebytności wuja, dostania się do jego celi. Łatwo mi teraz było znaleźć ów list ważny; odpieczętowałem go bez wahania, bo pieczęć leżała obok niego. Z tego listu dowiedziałem się, iż ów pergamin znajdował się w dobrze znajomej księdze. Wszystkie inne rozporządzenia nie obchodziły mnie wcale; zapieczętowałem znów starannie list i pospieszyłem po pergamin do szafy, do której klucz świeżo dorobiony już miałem w kieszeni. Z rękopismu na pergaminie wyczytałem, iż zakonnik, dręczony wyrzutami sumienia, zakopał niezmierne skarby częścią pod sosną naznaczoną trzema krzyżami i częścią w podziemnym ganku bydgoskiego zamku. Pudełko z drzewa oliwnego, obite żelaznymi szynami, miało się także znajdować pomiędzy skarbami, zagrzebanymi pod sosną. Znajdujące się w niem siedemdziesiąt klójnotów były obszernie opisane, również summy pieniężne były wyszczególnione. By zglądzić okropną zbrodnię, za którą podług pisma św. spada kara aż na czwarte pokolenie, uczynił zakonnik ślub, iż ów złowrogi majątek zakopie na lat kilkaset w ziemię, a po upływie tego czasu miał Przeor, będący natenczas w klasztorze, starać się o to, by najstarszy członek rodziny, noszącej nazwisko Polański, dostał owę ogromną pu-

ściznę. Od ówczesnego Przeora odebrał zapewnienie, iż każdy następca jego będzie zobowiązany przysięgą do dochowania tego przyrzeczenia.

„Niepotrzebne skrupuły, że niesłusznie jest chcieć sobie przywłaszczać cudze dobro, niepokoiły mnie wówczas nie mało, jednakże prędko wybiłem je sobie z głowy, zwłaszcza, iż nie znano w całym kraju nikogo, coby nosił nazwisko owego zakonnika. Dla tego rozumiałem, iż lepiej przywłaszczyć sobie te pieniądze, niż je klasztorowi zostawić.

„Jednakże przypadkiem dowiedziałem się, iż familia Polańskich nie była jeszcze zagasła. Zapoznałem się bowiem z ojcem Stefana; jego nazwisko spowodowało mnie do spytania go, z kądby był rodem, i dowiedziałem się, iż jego przodkowie mieszkali w okolicy Bydgoszczy, i że dziad jego przeniósł się do Rosyi i zamienił swe nazwisko Polański na Woronński. Gwałtowne drżenie przejęło me członki; dowiedziałem się bowiem, kto był prawym spadkobiercą owęj puścizny, i uczułem niejaki wyrzuty sumienia, iż jęj go pozbawić zamyslałem. W przeciągu roku miały mu być wszystkie skarby oddanemi, lecz wkrótce przedtém cegła spadająca z dachu pozbawiła go życia.

„By uspokoić niejako wyrzuty sumienia, przedsięwziąłem ożenić się z wdową Woronńskiego, lecz słabowita niewiasta umarła wkrótce, i pozostał tylko sam Stefan jako jedyny spadkobierca, któremu przedsięwziąłem udzielić jako dobrodziejstwo niejaka częśćkę z ogromnych jego skarbów.

„Przybyłem więc tutaj i wieczorem udałem się z latarnią i motyką na naznaczone w zwoju pergaminu miejsce, w podziemnym ganku starego zamczyńska. Zapomniawszy, ile łokci od wchodu znajduje

się miejsce, gdzie skarb jest zachowany, rozwinąłem zwój pergaminu, by przeczytać co o tém, gdy wiatr gwałtowny powstał nagle, zagasił światło i nieznamo ręką wydarła mi pergamin. Musiałem więc z niczem powrócić do domu. Odtąd po całych dniach szukałem w lesie naznaczonego drzewa, lecz wszystkie moje usiłowania były daremne, i pełen rozpacz i złości wróciłem do Gniezna.

„Wujaszek, Przeor, przyjął mnie zimno i spoglądał na mnie badawczo. Spostrzegł bowiem, iż zniknął zwój pergaminu, i dał mi do zrozumienia, iż ma mnie w porozumieniu.

„Mógłem mu to zaprzeczyć spokojnie, boć go w istocie nie miałem. Odtąd jest ciągle bardzo strapiiony, lecz cóż poradzi, pomimo najlepszych chęci, nie jest on w stanie odkryć prawdziwego spadkobiercę, a tego wychowamy wspólnie tak, iż będzie rad, gdy mu się okruszyny z naszego stołu dostaną. Mamy teraz Stefana w naszej mocy; musi nam pokazać ową sosnę z trzema krzyżykami, i staniemy się najbogatszymi ludźmi w okolicy.“

Potém obaj bracia cieszyli się z fortelu, jakiego użył Burmistrz, by zamydlić oczy obywatelom; oddał bowiem namówionój do tego pani pudelko z fałszywemi klójnotami, które należały do siostry jego, mieszkającój w Krakowie.

Obywatele miasta zgodzili się na to, iż Bączyński dostanie dwie części zakopanego pod sosną skarbu. Lecz pieniądze w podziemnym ganku miastu dostać się miały. Stefana prowadzono codziennie do lasu, a on szukał bardzo starannie sosny z trzema krzyżykami, chcąc pokazać osobliwe pszczoły tym, którzy mu towarzyszyli. Nie mógł się téż wstrzymać, by nie powiedzieć, iż pani, która sobie klójnoty

jego przywłaszczyła, musi być wielką oszustką, bo one były mu przeznaczone przez siwo-brodego ryccerza, który po gnieźnieńskim jeziorze przyszedł do niego. Chciał w zapale jeszcze co więcej powiedzieć, lecz złota pszczoła ukuła go tak silnie w usta, iż mu zapuchły i musiał umilknąć. Ten przypadek zwrócił jego uwagę, i, by uniknąć dalszych badań, powiedział, iż nie wie nic więcej.

Przekonawszy się bracia, że Stefan sosny znaleźć nie może, rozesłali po lesie, by jej szukali. Jeden z wieśniaków przybył z oznajmieniem, iż w samym środku lasu znalazł rój osobliwych, świecących niby złoto pszczół, na wysokości sosnie, naznaczonych kilku krzyżykami. Radość Burmistrza i Bączynskiego była nieograniczoną, i zaraz następującej nocy udali się w to miejsce z narzędziami potrzebnymi do kopania.

Księżyc oblewał srebrzystymi promieniami las ciemny i przyświecał im do téj ciężkiej pracy; lecz różanna jutrzienka ukazała się wkrótce na ciemnym tle niebios, a oni nic jeszcze znaleźć nie mogli; nakoniec motyki ich uderzyły o żelazo, wykopali żelazną skrzyneczkę, i znaleźli ją prózną. Skłopotani nie mało powrócili do domu, i pocieszali się jedynie, iż w podziemnym ganku starego zamczyska tém większe znajdują skarby. Lecz i tam wszelkie ich usiłowania daremnemi były, bo ów wichur zawsze im przeszkodził, a Burmistrz utrzymywał nawet, iż mu się potępiona księżniczka ukazała.

Z Stefanem obchodzono się odtąd obojętnie, i biedny chłopiec byłby zapewne znowu wypędzony z domu Burmistrza i jego brata, gdyby Gwardyan klasztoru Franciszkanów nie był zawołał, ujrzawszy go raz w ich domu: „Nieszczęsny chłopcze, zkądże

się tu wzięłeś? rozumiałem, iżes zakończył twe życie wówczas w podziemnym ganku.“

Potém opowiedział Gwardyan cały ów wypadek, i dodał, iż chłopcu śniło się zapewne tylko o owych skarbach, bo gdyby to jego prawny miał być spadek, wtenczas owa przeklęta księżniczka, o której całe miasto mówi, byłaby poprzestała pokutować.

To wzbudziło nowe podejrzenie w Burmistrzu i jego bracie, iż Stefan jednak co o tych skarbach wiedzieć musi, i odtąd nieszczędzili żadnych środków, by go nakłonić do odkrycia tajemnicy. Lecz Stefan ciągle obstawał przy tém, iż nic nie wie, co też właściwie prawdą było, gdyż biedny chłopiec nie miał żadnej innéj pewności w ręku, jak ów pergamin, na którym tylko owe słowa z ewangelii napisane były. Nakoniec Burmistrz zniecierpliwiony do najwyższego stopnia, znalazłszy sposobną do tego porę, zbił za małe przewinienie biednego chłopca tak, iż mu złamał dwa żebra, pokaleczył okropnie, i wypędził go nędżnego i chorego wśród srogiéj zimy z swego domu.

Tak błakał się biedny Stefan w okolicy, chodząc od domu do domu, i prosząc o pożywienie i przytułek. Jedna biedna wyrobnica ulitowała się jego nędzy i przyjęła go do swego domu. Obłożyła poranione członki jego gojącemi maściami, zrobiła mu za piecem posłanie ze słomy i pielęgnowała go starannie.

Gdy wiosna nadeszła, już znowu biedny sierota zdolnym był do pracy. Urządził się w okolicy u bogatego kmiotka, i służył mu pilnie i wiernie, mając zawsze na pamięci owe słowa napisane na pergaminie, który nosił przy sobie: „Szukajcie skarbow, których rdza nie strawi, robak nie zepsuje, złodziej

nie ukradzie, a wszystko inne znajdziecie przy tém.“

Lata mijały; Stefan wyrosł na żwawego, dziarskiego, miłego Bogu, ludziom użytecznego młodziana. Różnemi losu kolejami dostał się aż na Podole, lecz tęsknota za rodzinném miastem zaczęła się coraz bardziej wzmagać w jego sercu. Widzieć raz jeszcze groby swych rodziców, i miejsca, gdzie w dzieciennych latach tak słodkie spędzał chwile, zdawało mu się największém szczęściem na ziemi. Przedsięwziął więc udać się do Gniezna. Podróż była daleką i uciążliwą, lecz z wesołym sercem i czystém sumieniem wszystko staje się łatwem człowiekowi. Nakoniec po dziesięciu latach oddalenia ujrzał znowu wieżycę tak lubego miasta. Tak słodkiego uczucia nie zaznał był jeszcze w swém życiu. Nieraz, gdy go gnębił los przykry, błagał Boga, by go zwolnił z tego życia i połączył go w niebiesiech z rodzicami; a powitanie się tam z nimi w najczudniejszych malował sobie barwach; lecz teraz dopiero uczuł całkowicie przedsmak tych rozkoszy.

Te uczucia radosne wzbudziły w nim chęć do wesołego śpiewu, gdy wtém ujrzał zbliżającego się żebraka, okrytego lachmanami, który go zapytał, co go w tak widoczną wprawia radość?

„Przyjacielu!“ zawołał Stefan, „jakże się nie mam cieszyć, ujrzawszy się na rodzinnej ziemi po dziesięciu latach oddalenia! Każdy krok wzbudza we mnie wspomnienia ubiegłych lat dziecięcych, owych lat szczęścia i rozkoszy czystych i niewinnych, jedynych, jakich człowiek kosztuje na téj ziemi.“

„Szczęśliwy człowieku“, rzekł nędzarz, siadając znękany na omeszałym kamieniu nadedrogą. „Jakaż różnica pomiędzy nami! Ty się cieszysz wspomnie-

niem przeszłości, a mnie tłoczy boleść i niezdolność zgryzoty sumienia. Już od lat wielu żadna myśl wesola nierozjaśniła mego oblicza, a robak zgryzoty toczy me serce i rozdziera mą duszę swym jadem. Nie zawsze byłem takim, jak mnie dziś widzisz; niegdyś posiadałem wielkie dobra, pyszne pojazdy, zgraję sług, i z dumą spoglądałem na mych bliźnich. Teraz włóczę się jako nędzny żebrak, błagając o jałmużnę, którą niegdyś surowo odmawiałem ubogim. Lecz zasłużyłem sobie na to u Boga, gdyż pozbawiłem majątku ubogiego sierotę, i opuściłem go w nędzy i rozpacz.

Stefan przypomniał sobie, że ma w kieszeni kawałek chleba; chcąc go wyciągnąć wyrzucił z niej zwój pergaminu, który się także w niej znajdował. Oczy żebraka rozjaśniły się nagle, wyciągnął drżącą rękę po dawno upragnioną zdobycz, i rzekł stłumionym głosem: „Pokaż młodzieńcze, to musi być bardzo coś ważnego. Ale co widzę, tu są dwie karty sklezione jedna na drugiej. Czy wiesz, co stoi napisane w środku?”

Stefan odpowiedział, iż nie wiedział dotąd nic o tém.

„Zdaje się“, mówił żebrak, „że te karty woskiem są sklezione; przy wolnym ogniu rozdzielimy je z łatwością i dowiemy się zapewne bardzo ważnych rzeczy, które nas może obudwóch uszczęśliwią!“

Szli dalej; nieznajomy trzymał w ręku pergamin i obiecał wyjednać Stefanowi dobre przyjęcie w klasztorze Franciszkanów. Gdy tam przyszli, nieznajomy zostawił Stefana przeddrzwiami i wszedł sam do klasztoru, obiecując mu, iż niebawem powróci. Napróżno czekał młodzieniec na niego; nakoniec dowiedział się, iż jego towarzysz, który nie był nikim

innym, jak Bączyńskim, wyszedł, otrzymawszy jałmużnę, tylną fórtką z klasztoru.

Zły sam na siebie, iż tak lekkomyślnie zaufał nieznanemu żebrakowi, zbliżał się Stefan ku swemu rodzinnemu miastu, na grób ukochanych rodziców. Pocieszał się tylko po stracie swego pergaminu myślą, iż ten dotąd więcej mu szkody niż użytku przynosił, i że posiadanie tegoż żadnej korzyści przynieść mu nie mogło. Miejsce spoczynku jego rodziców za ledwo rozpoznać mógł jeszcze, modlił się i płakał długo na tych świętych miejscach, a potem udał się nad brzegi jeziora, gdzie mu się niegdyś biała ukazała postać.

Pogrążony w głębokiem dumaniu, nie widział i nie słyszał co się działo wokoło niego. Wtém ujrzał stojącego około siebie owego przodka swojego w błyszczącej zbroi, z siwą aż do pasa brodą, lecz z groźniejszą niż pierwój postawą.

„Lekkomyślniku!“ rzekł do niego surowym głosem, „dla czego nie oddałeś się całkiem pod opiekę poczciwego Gwardyana w Bydgoszczy? Byłbyś dzisiaj znakomitym człowiekiem i podporą twego narodu. Lecz przez twój nierozważny pośpiech w przebieganiu podziemnych ganków bydgoskiego pałacu, popsuleś procesyą, przez twą nieuwagę opóźniłeś zbawienie mojej siostry, która już teraz przez ciebie uratowaną być nie może. Idź do klasztoru, w którym dopiero co byłeś, i oznajmij Przeorowi, iż się nazywasz Polański!“

Stefan chciał się tłumaczyć i podziękować osobliwemu zjawisku, lecz to już było zniknęło. Tak był wzruszony tém, co widział i słyszał, iż za ledwo zdołał powrócić do klasztoru. Przeor dał długo czekać na siebie, gdyż miał właśnie gości; lecz gdy Stefan

odźwiernemu powiedział, iż się nazywa Polański, ten wziął go w serdeczném wzruszeniu za rękę, zaprowadził prosto do celi Przeora, wołając radośnie: „oto jest Polański!“

Czcigodny Przełożony zaprowadził Stefana do osobnej celi, gdzie go wypytywał o wszystko. „Kochany Polański!“ mówił, „wiele bezsennych nocy strawiłem ja dla ciebie. Wiem już od dawnego czasu, iż ty jesteś spadkobiercą owych ogromnych skarbów, które powierzone są klasztorowi naszemu, lecz nie możesz odebrać prędzej majątku i ja nie odzyskam prędzej spokojności méj duszy, dopóki nie wynajdziemy zwoju pergaminu, który nam z tego klasztoru skradzionym został.“ Gdy Stefan opowiedział swe życie, domyślono się wszystkiego i rozesłano na rozmaite strony gońców, by odkryć złoczyńcę Bączyńskiego. Stefan udał się w pogoń za nim ku Bydgoszczy, lecz niemógł znaleźć ani śladu jego.

Pięć tygodni błakał się Stefan po całej okolicy pomiędzy Gnieznem i Bydgoszczą; nie było ani jednej wioski, ani jednego folwarku lub zagrody, gdzieby nie był zastukał i prosił o wejście, bo wszędzie spodziewał się znaleźć niewiernego Bączyńskiego. Pewnego dnia, kiedy się zmierzchać zaczynało, szedł Stefan po nad ciemnym zagajeniem, którego jasne lato-rośle oświecone były promieniami zachodzącego słońca. Wtém ujrzał śpiącego człowieka, którego twarz cała okryta była powłoką z wosku. Przypatrzywszy mu się bliżej, poznał w nim Bączyńskiego, lecz wielkie wołanie i budzenie było daremnem, Bączyński był już nieżywy. Gniew za wyrządzone mu krzywdy znikł od razu z duszy dobrego młodziana, uklęknął pobożnie obok ciała zmarłego i modlił się za jego duszę. Że złote pszczoły sprawiły śmierć jego, nie było można powątpiewać.

Kilku wieśniaków, którzy wesoło śpiewając przechodzili tamtędy, przeżegnali się z podziwienia, widząc trupa woskiem oblanego. Teraz spostrzegł dopiero Stefan zwój pergaminu, który leżał u stóp zmarłego. Nie doznał z tego żadnej radości, i włożył do kieszeni znaleziony skarb tak obojętnie, iż nikt z stojących wokół nie zwrócił nań swęj uwagi.

Dobrzy wieśniacy podjęli się pochować Bączyńskiego, a Stefan umieścił na jego mogile krzyż, który sam z drzewa uciosał.

Przeor załamywał ręce i żegnał się z podziwienia, gdy Stefan przybył do niego i osobliwą wieść tę mu oznajmił; nakoniec w cichej modlitwie wznosił duszę swoją do Boga.

„Długo dosyć“, rzekł potém do Stefana, „czekać musiałeś na prawnie należący ci się majątek, lecz teraz niezwłoczmy chwili, w której go masz osiągnąć.“

Pojechali oboje do Bydgoszczy, i niedoznawszy żadnych więćej trudności, znaleźli więćej niż dwadzieścia tysięcy dukatów w złocie w podziemnym ganku starego zameczyska. Pod sosną w lesie znaleźli próżną żelazną skrzyneczkę, a Przeor czynił sobie gorzkie wyrzuty, iż przez jego nieostrożność Bączyński pozbawił Stefana połowy jego majątku, bo podług wszelkiego podobieństwa on to wypróżnił skrzyneczkę.

Wtém ukazał się w powietrzu rój znanych już Stefanowi złotych pszczołek, obleciały kilkanaście razy około sosny, nakoniec uwiązały się na jednę gałęzi w formie wielkiej czapki. Tak zostawały bez najmniejszego poruszenia, a Przeor i Stefan nie mogli się nadziwić cudnemu widokowi, jaki sprawiał rój ten, o którego świetne skrzydelka odbijały się promienia słoneczne w rozmaitych barwach. Prześliczne te stworzonka zdawały się być nieżywe, gdyż się nie

ruszały, chociaż je gałązkami straszono. Tylko brzęk głośny rozlegał się pomiędzy niemi, lecz i ten ucichł nakoniec, skrzydelka ich pozwijały się i wkrótce cały rój stał się podobnym do dużej bryły świecącego wosku. Gałęź, na której rój usiadł, zgięła się aż ku ziemi, nakoniec złamana upadła na ziemię i z brzękiem rozsłuły się tysiące świecących dukatów.

Radość Przeora i Stefana byłaby nie do opisania. Przeor odzyskał teraz dopiero całkowitą spokojność swego sumienia. Stefan zaś okazał się późnziej godnym szczęścia, które Bóg mu zesłał. Majątek, przekazany mu przez dalekiego przodka, używał na rozmaite dobre cele. Budował i upiększał kościoły, zakładał szpitale, wyposażał ubogie dzieciwczęta, wspierał cierpiących i nieszczęśliwych; a tak rządząc skarbami, których sposobem tak cudownym został panem, zbierał nierównie kosztowniejsze, jakich rdza nie strawi, mole nie zniszczą, złodziej nie ukradnie, lecz które wiecznie trwać będą, i które w oczach Sędziego przedwiecznego wartość ludzką jedynie stanowią.

K o n i e c .

